NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 1 grudnia 1906 r. Nr. 48.

Córka komendanta.

(Treść na stronie 3).



Od Redakcyi.

Z powodu choroby **Artura Gruszeckiego** nie możemy jeszcze w niniejszym numerze rozpocząć, wbrew zapowiedzi, druku jego najnowszej powieści na tle pogromów rosyjskich pt:

„Na wulkanie“

Zgon Prymasa polskiego.

Nie mógł cios większy spotkać „przybytku niedoli“, jakim jest dziś dzielnica polska pod berłem pruskiem — nad ten „grom z nieba“: w takiej chwili, gdy „miara przebrana w prześladowaniu ciał i dusz“, osierocił swą archidyecezyę gnieźnieńsko-poznańską jej pasterz ukochany i przewodnik duchowy, a prymas polski. Nagle a spokojnie zasnął w Bogu ks: Felicyan Stablewski w sobotę wieczorem, gdy właśnie dzienniki roznosiły po świecie głos Sienkiewicza do tronu króla pruskiego. A cios to tem dotkliwszy dla naszego narodu wśród ciężkiej, okrutnej walki z przemocą pruską o dziatwę polską, ile że hakata czyhała na opróżnienie stolicy św. Wojciecha, by na niej znowu, jak przed Stablewskim, posadzić Niemca. Szczęściem, że arcypasterz odchodząc, pozostawił duchowieństwo polskie w swej dyecezyi dobrze zorganizowane i przejęte gorącem poczuciem patryotyzmu. To zasługa zmarłego i za to samo wdzięczność mu się należy od ogółu polskiego. A w żałobie po jego zgonie nie tylko Wielkopolska, lecz cały naród udział bierze dziś żywy. I na dowód, że serca polskie nie znają kordonów politycznych, po zgonie prymasa całej Polski (taki tytuł nosi każdorazowy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański na starożytnej stolicy św. Wojciecha) rodakom wieść żałobną obwieściły dzwony wszystkich kościołów polskich na ojczystych ziemiach. Po trzykroć na dzień słyszał Kraków jęki wszystkich dzwonów naraz — a nad nimi huczał potężny dzwon Zygmunta...

* * *

Floryan Oksza Stablewski urodził się 16 października 1841 we Wschowie, jako syn żołnierza Napoleońskiego i ziemianina wielkopolskiego. Wcześnie wyświęcony na kapłana miał pierwszy zatarg z rządem pruskim, jako katecheta gimnazyalny w Śremie. Oto gdy w 1873 zniesiono polski wykład religii w gimnazyach, oświadczył ks. Stablewski stanowczo, że uczniom nie będzie wykładał religii po niemiecku. Za to złożono go z urzędu, lecz wdzięczni współobywatele wybrali go posłem do Sejmu pruskiego, a potem i do parlamentu niemieckiego. Dzięki świetnej wymowie, w obu ciałach prawodawczych ksiądz poseł zdobył sobie stanowisko wybitne, a przodujące patryotom wielkopolskim. W tym czasie właśnie był proboszczem w głośnej później Wrześni. Działalność swą poselską rozpoczął tą samą walką, jaką toczył znowu w ostatnich dniach życia, bo walką o polski wykład religii. Znakomite były jego mowy w Izbie w owych czasach. Stablewski w Sejmie i parlamencie domagał się, by przywrócono wykład polski nie tylko do nauki religii, lecz we wszystkich przedmiotach naukowych i we wszystkich szkołach, w Wielkopolsce, w Prusach zachodnich i na Szląsku. Jednym z głównych szermierzy Koła polskiego w Berlinie przeciw rugom pruskim w 1885 i wszelkim ustawom wyjątkowym przeciw polskości w 1886, był ks. poseł Stablewski, który Bismarkowi w twarz rzucił te pamiętne słowa: „Możecie nam wyrządzać wiele złego, możecie i nadal naigrawać się z męczarni żyjącego organizmu, możecie całe pokolenia zmarnować duchowo, zrujnować materyalnie, lecz zniszczyć nas nie jesteście w stanie“. Godność arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego otrzymał ks Stablewski w 1891 Wstąpił on na stolicę św. Wojciecha po śmierci Niemca ks. Dindera. O ile okres poselski ks. Floryana spotykał się bez wyjątku zawsze z ogólnem uznaniem społeczeństwa, o tyle często ostrej krytyce podawali ziomkowie działalność ks. Stablewskiego jako prymasa polskiego. Pochodziło to stąd, że jak wielu innych, uległ arcybiskup gnieźnieńsko-poznański złudzeniu, że z chwilą objęcia rządów przez Wilhelma II nastanie pewna ulga w ucisku Polaków w zaborze pruskim Stanął on w szeregu polityków ugodowców, to też pierwsze lata jego prymasowstwa nacechowane były zbytnią lojalnością. Jednakże tak samo, jak arcybiskup Stablewski zawiódł się na Wilhelmie II, tak i cesarz doznał zawodu co do działalności prymasa; ks. Floryan bowiem na stolicy św. Wojciecha popełnił może błąd niejeden w dobrej wierze działając, ale nigdy nie pozwolił użyć się za narzędzie germanizacyi. I gdyby nie śmierć łaskawa, piętnastoletnie jego rządy arcybiskupie byłyby się skończyły wywiezieniem prymasa do Ostrowa, gdzie to w więzieniu trzymano jego poprzednika ks. Ledóchowskiego. Energicznie bronił on w ostatnich latach polskości kościołów swej archidyecezyi, wszelkiemi siłami opierał się wprowadzeniu do nich nabożeństw niemieckich, mimo rządowego prawa veto, obsadzał probostwa księżmi polskimi; a kiedy powstał strejk dziatwy polskiej, zajął — jak przystało na prymasa Polski — stanowisko przychylne względem niego, bo nie mógł go potępić ten, który walczył i cierpiał sam o polski wykład religii w szkołach.



Zgon prymasa polskiego: Śp. ks. dr. Floryan Stablewski, arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, prymas polski.



Autor „Krzyżaków“ do króla pruskiego: Henryk Sienkiewicz.

Autor „Krzyżaków“ do króla pruskiego.

Jednocześnie w kilku najpoważniejszych dziennikach politycznych, angielskich, francuskich, niemieckich, włoskich, rosyjskich i polskich, pojawił się przed kilku dniami list otwarty naszego wielkiego powieściopisarza, Henryka Sienkiewicza, twórcy „Krzyżaków“, do cesarza niemieckiego Wilhelma II., jako króla pruskiego, odpowiedzialnego za obecną krucyatę dzieci polskich w podległych jego berłu dzielnicach naszej Ojczyzny. Oto tekst dosłowny pisma Sienkiewicza obok portretów autora listu i adresata:

W. C. Mości! W chwili, gdy oczy całego ucywilizowanego świata zwracają się z bolesnem zdumieniem na jedną dzielnicę obszernego państwa W. C. Mości — w chwili, gdy prasa wszystkich narodów stwierdza i potępia krzywdy wyrządzane dzieciom polskim w Królestwie Pruskiem, uprawniony jest głos każdego człowieka i chrześcijanina, a cóż dopiero głos Polaka, który zwraca się do Ciebie w imię sprawiedliwości. Sprawiedliwość bowiem wyższą jest i doskonalszą od wszelkich racyj stanu i zakusów politycznych, które, jeśli je depcą, temsamem stają się mylne i na obłędne tylko prowadzą je drogi. Zło i krzywda wołają o naprawę, naprawa zaś leży w ręku monarchy. Opatrzność w niezbadanych wyrokach swoich, oddawszy pod władztwo W. C. Mości cały jeden odłam wielkiego narodu polskiego, włożyła zarazem na Nią obowiązek uszanowania duszy polskiej, ochrony szczęścia tegoż narodu, jego wiary, języka, tradycyi i uczuć.

Tymczasem ziemie, wchodzące w skład państwa pruskiego, stały się przybytkiem niedoli, która pod panowaniem Twojem wzrosła jeszcze, niestety, i spotężniała. Skargi na tę niedolę nietylko rozlegają się napróżno, ale rząd W. C. Mości odpowiada na nie zarządzeniami, które nawet postronnym narodom wydają się czynami nienawiści, przemocy i jakoby zemsty. Spokojna ludność polska płaci na równi z niemiecką podatek krwi i mienia i nie porywała się do broni, więc próżno nienawiść stara się upozorować te czyny przemocy kłamstwem, że Polacy dążą do obalenia królestwa. Niegodnym jest potężnych państw i potężnych rządów wmawiać w siebie i w drugich to, w co same nie wierzą. Ruch żywiołowy, opór gwałconej natury ludzkiej nie jest polityczną agitacyą. Tam, gdzie chodzi o obronę najrdzenniejszych praw ludzkich i boskich, o [illegible] człowieka do Boga, o ochronę jego skargi, prośby i modlitwy, tam sumienie jest najlepszym agitatorem. W. C. Mości! urzędnik pruski stał dotąd między ludem polskim, a królem ziemskim, aby żadnych skarg przed tron nie dopuścić, — dziś zamierza odgrodzić tak samo ów lud i od tronu Boga.

Wasza Cesarska Mości! Miara w prześladowaniu ciał i dusz jest przebrana! Bezduszne bowiem i nieludzkie jest takie prawo, które nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swe legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową. Straszne, głęboko niemoralne i niedające się niczem uspra



Autor „Krzyżaków“ do króla pruskiego: Cesarz niemiecki i król pruski Wilhelm II., w mundurze dragonów rosyjskich.

wiedliwić takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysięcy bezbronnych dzieci Szkoła, a w niej nauczyciel w Królestwie Pruskiem, nie jest przewodnikiem który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitośnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką. I oto z każdym rokiem więcej w tych szkołach łez, więcej świstu rózeg, więcej męczeństwa.

Miara przebrana wobec Boga i ludzi rodzi nietylko gniew Boski i ludzki, ale niesławę Przodkowie W. C. Mości prowadzili liczne wojny — pomyślne i niepomyślne — w obliczu historyi słuszne lub niesłuszne, ale ciężkie i wielkie. W dzisiejszych czasach wysuwa się, jako największa tylko ta wojna: całego państwa, całej potęgi pruskiej z dziećmi. Orężem w niej, z jednej strony więzienie i rózgi, z drugiej — łzy! Zaiste, im większe byłoby zwycięstwo państwa, tem większa niesława. Ale właśnie dlatego W. C. Mość nie zechcesz i nie możesz pozwolić, aby taka wojna stała się główną treścią Twych rządów, aby związała się z niemi raz na zawsze w historyi i dała nazwę Twemu panowaniu.

Słowa manifestu królewskiego z roku 1867 zaręczają polskim poddanym, *że przez wcielenie ich do północno-niemieckiego związku, ani ich język, ani ich religia nie doznają uszczerbku i że wewnątrz związku mają pozostać Polakami, zachować język i obyczaje.* Jakże te królewskie słowa i obietnice zostały dotrzymane?... Wasza Cesarska Mość jesteś piastunem honoru Niemiec, honoru dynastyi i przedstawicielem idei monarchicznej — racz zatem zważyć, że jeśli honor najbiedniejszego z twych poddanych zależy od jego wiary w dotrzymywaniu przysiąg i słowa — z jakiem okropnem uczuciem goryczy i zwątpienia muszą dziś czytać powyższe słowa, nietylko Polacy, ale i uczciwi Niemcy, a zwłaszcza Niemcy monarchiści. Czy zdołają obronić się myśli, że idea monarchiczna w Prusach nie jest, jak być powinna, oparta na niewzruszonej podstawie i że w braku takiej podstawy sama nie oprze się falom, które wokół niej spiętrza wiek bieżący.

Miara została przebrana! Nieprawe prawa niegodne są swej nazwy. Wyjątkowe ustawy łamiące poczucie słuszności, to oszczep na obu końcach ostro okuty, który przyszłe przewroty społeczne skierować mogą w pierś państwa. Daleki jestem od chęci wglądania w sprawy i losy Królestwa Pruskiego, wygłaszam tylko pewnik historyczny, że rząd, który pozwala sobie na wszystko, uczy poddanych, że i przeciw niemu można sobie na wszystko pozwolić. Niema prawa przeciw prawu, a prawo do bytu



Otwarcie Akademii handlowej w Krakowie: Dyrektor nowej Akademii, Józef Kannenberg.

dał narodom tylko Bóg. Ich prawo przyrodzone jest z Bożej łaski, więc monarchia, która swoje również z Bożej łaski wyprowadza, tamtego naruszać nie powinna, bo tą samą ręką targa i podkopuje własne. Lecz w tej sprawie sam W. C. Mość będziesz sędzią najlepszym. Obecnie zechciej spojrzyć w oczy tej strasznej prawdzie, która bije ze stosunku państwa do Polaków i choć tłumiona, wybucha jak ogień z pod ziemi: Oto miliony ludu, nad którym kazała Ci czuwać Opatrzność, czują się za Twego panowania i pod rządami Twych ministrów nieszczęśliwsze, niż kiedykolwiek przedtem; oto naruszone jest prawo człowieka do ziemi, naruszone jest prawo ogniska — oto łzy dzieci oblewają zgwałcony stosunek dusz do Boga Niech wobec tego Twoje chrześcijańskie sumienie króla podyktuje Twej woli przyszłe jej czyny.

Henryk Sienkiewicz.

Powyższy list Sienkiewicza spotkał się na ziemiach polskich z wielkiem uznaniem, głos bowiem głośnego laureata Nobla, a twórcy „Quo Vadis“ obudzi wszędzie sympatyę dla streiku dzieci wielkopolskich Oddaje on cesarza Wilhelma II, jako instygatora właściwego hakatystów, pod sąd ludów cywilizowanych, które w walkach politycznych nie zatraciły w sobie poczucia sprawiedliwości. Społeczeństwo nasze jednak nie może mieć żadnych złudzeń pod tym względem, by głos Sienkiewicza mógł mieć jakikolwiek wpływ na rząd pruski w sprawie polskiej, skoro wiadomo, że król pruski sankcyonuje z góry wojnę obecną z dziećmi polskimi.

Córka komendanta.

(Do illustracyi tytułowej).

Niezwyczajny wypadek zdarzył się przed kilku dniami w Warszawie w rosyjskiem towarzystwie, a ściślej mówiąc, w świecie wojskowym. Wieczorem w remizie Jamiołkowskiego na Pięknej zjawił się młody 24-letni oficer pułku keksholmskiego w towarzystwie młodziutkiej, wytwornej kobiety, elegancko ubranej — i zażądał zamówionego wprzódy landa. Pojechali we dwoje Nowym Światem i Krakawskiem, od Zamku zawrócili i pojechali przez Marszałkowską za rogatki. Stangret zatrzymał konie przed koszarami pułku keksholmskiego, lecz kazano mu jechać dalej. Rychło jednak rozległy się dwa strzały rewolwerowe. Woźnica nie rozpoznał zrazu, że odgłos pochodził z głębi powozu, lecz wkrótce gdy usłyszał charczenie, przystanął i zajrzał przez okienko do wnętrza landa. Spostrzegł dwa trupy. Popędził tedy z powrotem do rogatki mokotowskiej, gdzie zawiadomił o wypadku policyanta. Nadeszli na to dwaj oficerowie pułku keksholmskiego, którzy w jednym z dwóch trupów



Fot. aparatem redakcyjnym „Now Illustr“. W. Lis w Krakowie.

Otwarcie Akademii handlowej w Krakowie: Akt poświęcenia nowego gmachu Akademii handlowej: uczestnicy uroczystości: 1. J. E. ks. biskup Nowak, 2. J. E. namiestnik hr. Potocki, 3 delegat ministerstwa oświaty, radca sekcyi dr. Fryderyk Dlabacz, 4. prezydent miasta Krakowa dr. Juliusz Leo, 5. delegat namiestnictwa dr. Fedorowicz, 6. wiceprezydent miasta Chyliński, 7. radca dworu dr. Zoll senior, 8. twórca gmachu akad. handl architekt prof. Zawiejski, 9. inspektor dr. Franke, 10. poseł radca Federowicz, 11. dyrektor policyi dr. Flatau, 12. prezes Izby handl. Mendelsburg, 13. wicepr. Izby handl. poseł Götz Okocimski, 14 dyrektor Kasy Oszcz. poseł Staniszewski, 15. radca dr. Szarski, 16. radca Kwiatkowski, 17. radca prof. dr. Domański, 18 radca budownictwa Sare, 19. radca Beringer, 20. dyrektor szkoły przemysł. Stadtmüller, 21. radca Izby handl. Blumenfeld, 22. dyrektor Banku hip. Winiarz, 23. sekret. Izby handl. radca dr. Benis, 24. dyr. Banku kraj. Sędzimir, 25. radca Izby handl Resch, 26. poseł prof. dr. Jaworski, 27. dyrektor dr. Winkowski, 28. dyr. Kannenberg



Krwawy napad: Raniona strzałami bandytów Anna z Chełchowskich Zygmuntowa Otto, obywatelka ziemska z Łęczyckiego

w powozie poznali zaraz swego kolegę Jacuna. Pod eskortą żołnierzy odesłali karetę do szpitala Ujazdowskiego. Zaledwie lekarze stwierdzili śmierć wniesionych do szpitala na noszach oficera i jego towarzyszki, zjawił się komendant jednego z batalionów pułku, w którym służył podporucznik Jacun. Na widok świeżych zwłok młodej damy — pułkownik Onacewicz zdrętwiał: poznał własną córkę 19-letnią Wierę.... (Właśnie tę chwilę wyobraża nasza rycina na stronie tytułowej). W powozie znaleziono dwa zakrwawione rewolwery. Prawdopodobnie zachodzi tu fakt podwójnego samobójtwa. Rodzice panny Wiery Onacewicz nie chcieli zgodzić się na małżeństwo jej z porucznikiem Jacunem.

Krwawy napad.

Donoszą znowu o krwawym napadzie na rodzinę obywatela ziemskiego z Łęczyckiego, p. Zygmunta Otta. Napad dokonany został na tle agitacyi strejkowej, która między innemi w Łęczyckiem potworne przybrała rozmiary.

W niedzielę późnym wieczorem p. Zygmunt Otto, właściciel majątku Węglewice, powracał powozem z żoną i kilkuletniem dzieckiem od rodziców żony z sąsiednich Konar. Kiedy powóz znajdował się już na terytoryum Węglewic, z mroku nocy wyłoniły sią cztery jakieś podejrzane postacie, które, stanąwszy wpoprzek drogi, zatrzymały konie. Jeden z napastników pozostał przy zatrzymanych koniach, trzej inni rzucili się do powozu.

— Czy to jedzie dziedzic z Węglewic? — zapytano, wyjąwszy rewolwery.

— Tak — brzmiała odpowiedź napadniętego.

W jednej chwili zagrzmiała salwa rewolwerowa. P Otto, mimo uczucia bólu od otrzymanego postrzału, schwycił trzymany na siedzeniu brauning i na strzały odpowiedział strzałami. Dwaj napastnicy padli u stóp powozu ciężko ranieni, dwaj pozostali zaś, cofnąwszy się nieco dalej, nie przestawali prażyć powozu kulami. P. Otto, założywszy drugi magazyn z nabojami, wyskoczył z powozu i pomimo postrzałów w nogi, zaczął biedz w kierunku strzelających napastników, mierząc do nich w dalszym ciągu. Ci jednak rzucili się do ucieczki. Powróciwszy do powozu, p. Otto, raniony czterokrotnie, znalazł w nim oniemiałą z bólu żonę i dziecko: żona otrzymała dwa postrzały, synek — jeden. Napastnicy ogółem dali około 25 strzałów. Po przybyciu do dworu, zawezwano pomocy lekarskiej i zajęto się opatrunkiem rannych. Rany pani Ottowej i dziecka okazały się lżejszemi i nie wymagającemi specyalnej pomocy chirurgicznej, ponieważ kule przeszły na wylot mięśni kończyn dolnych: pana Otta zaś, jako bardzo poważnie rannego przywieziono na dworzec kolejowy i stamtąd do Warszawy, gdzie umieszczono go w prywatnym zakładzie chirurgicznym przy ulicy Boduena Ranionych przez p. Otto napastników przeniesiono do sąsiedniej wsi Nedzarzew w majątku p. Starzyńskiego, gdzie też ich zatrzymano i po opatrunku oddano w ręce straży ziemskiej. Są to prowodyrzy strejkowi, którzy od dłuższego czasu teroryzowali okolice. Ranny p. Otto, brat dr. Czesława, ordynatora szpitala Dzieciątka Jezus, pozostaje w zakładzie leczniczym pod opieką dr. Horodyńskiego. Stan zdrowia jego jest ciężki.



Strejk w gazowniach: Brygada saperska w gazowni warszawskiej zastępująca strejkujących robotników.



Krwawy napad: Obywatel ziemski z Łęczyckiego, p. Zygmunt Otto, ciężko poraniony przez bandytów.

Strejk w gazowniach.

Pochopnym do strejków żywiołom w Warszawie przybyły świeżo obie gazownie miejskie. A stało się to w następstwie nietaktu niemieckiej rady zarządzającej w Dessau, której prezes Oeckelhauser w obawie strejku po zabiciu dyrektora Welkego zażądał wprowadzenia ochrony wojskowej we wszystkich fabrykach gazu. To nieliczenie się rady z opinią miejscowych członków zarządu postawiło ich w fałszywem świetle i nader niebezpiecznej sytuacyi wobec tysięcy robotników, zmuszonych pracować pod bagnetami. To też gdy wrzenie rosło, gdy aresztowania zwiększały się, zagrożeni w bezpieczeństwie życia członkowie zarządu inżynier Lange i inżynier Jacuński podali się do dymisyi i usunęli się z fabryk, a inżynier Linstadt wyjechał do Niemiec. Mimo to jeszcze fabryki były czynne, a robotnicy zapewniali, że o strejku nie myślą, od czego skutecznie powstrzymywał ich dużem zaufaniem cieszący się dyrektor naczelny, Polak Alberti. On domagał się kilkakrotnie od władz usunięcia wojska, a gdy jego prośbom nie uczyniono zadość, zrzekł się odpowiedzialności za prawidłowe oświetlenie miasta. Na mocy rozkazu wojennego generał-gubernatora został wówczas dyrektor Alberti uwięziony. Inżyniera Langego zaś sprowadzono pod eskortą do gazowni na Ludnej i kazano mu pełnić nadal dawne obowiązki. Wtedy wybuchł strejk. Robotnicy od pieców i warsztatów gazowni przy ul. Ludnej nie przybyli już na nocną zmianę.



Strejk w gazowniach: Żołnierze-saperzy pracujący w gazowni warszawskiej podczas strejku robotników: wyrzucanie koksu z retort na podwórze.



Strejk w gazowniach: Po całodziennej pracy saperów w gazowni warszawskiej podczas strejku robotników, rezerwoar wypełniony zaledwie do połowy.

Margot Kaftal.

Ujmująca wdziękiem i prawdziwym talentem młoda polska śpiewaczka Margot Kaftal, zaangażowana została na sezon zimowy do opery włoskiej w Rzymie. Nie pierwszy to zaszczyt spotyka naszą rodaczkę; zdobywszy sobie pierwszorzędne stanowisko w operze warszawskiej i lwowskiej, śpiewała już z powodzeniem w kilku miastach włoskich i niemieckich, wywołując wszędzie doskonałe wrażenie i uznanie krytyki.



Margot Kaftal: Wybitna polska śpiewaczka operowa, zaangażowana na występy do Rzymu.

Uczenica Lucci, umiała przejąć się wyborną metodą tej wielkiej artystki i mistrzyni śpiewu, która kształcąc młode talenta, powierzone jej szkole nie przebaczała nic, wymagała dużo i przygotowywała do zawodu artystycznego z pedanteryą, często nawet uciążliwą. Być uczenicą Lucci, uważanem było zawsze w świecie muzykalnym za wielki zaszczyt, bo dawało to rękojmię trwałych i pewnych zasad sztuki. Zresztą Paulina Lucca była wybredną w przyjmowaniu uczenic do swej szkoły, wymagała talentu i pewnego umiłowania wybranego zawodu. Panna Kaftal odpowiadała tym wszystkim warunkom, więc wychowana w atmosferze tak doskonałej szkoły, mogła osiągnąć pomyślne rezultaty. Wrodzona inteligencya, wsłuchiwanie się w najznakomitsze wzory na scenach francuskich, włoskich i niemieckich wyrobiły w młodej śpiewaczce ten smak i odczucie, z jakiemi tworzy swoje kreacye, łącząc w nich pięknie i artystycznie śpiew i grę w jednolitą całość, nadając tem samem życie postaciom scenicznym. Pierwowzór Gemmy Bellincioni dużo tu oddziałał. Jak Bellincioni w każdym calu jest znakomitą artystką dramatyczną, tak panna Kaftal również grze swojej nadaje pewną własną indywidualność, nie jest powierzchownym instrumentem, ale śpiew swój uplastycznia wyborną mimiką, giestem i wyrazem. W obfitym szeregu jej kreacyj, dość wspomnieć pełną prostoty i naiwności dziecięcej Małgosię w „Jasiu i Małgosi“, syna w „Wilhelmie Tellu“, figlarną Zerlinę w „Don Jouanie“, a przedewszystkiem Neddę w „Pajacach“, w której talent panny Kaftal najwyraźniej się uwydatnił. Kreacya to w całem znaczeniu tego słowa piękna i samodzielnie odtworzona, pełna porywów miłosnych i rozmarzenia w pierwszej części, jak tragicznego napięcia w scenach końcowych. Neddę można śpiewać silniej i błyskotliwiej, ale trudno ją pojąć lepiej i głębiej, jak to czyni panna Kaftal. Stoi ona najbliżej pomysłu Leoncavalla. Zresztą w ogólnym sposobie odtwarzania partyj przez pannę Kaftal, przeważa zawsze więcej ciepła i uczucia, aniżeli błyskotliwych efektów, któremi często nawet wyborne śpiewaczki się posługują.

Przyszła teraz chwila, stanąć znowu przed wielką i wymagającą publicznością rzymską, gdzie panna Kaftal ma do spełnienia trudne, acz nęcące zadanie, bo odśpiewanie Wagnerowskiej Brunhildy w „Zygfriedzie“. Sumienne studya i długa praca nad partyą, pozwolą artystce spełnić to zadanie godnie i zaszczytnie. *Z.*

Nowy rycerz orderu Podwiązki.

Mieszkańcy Londynu serdecznie witali przed dwoma tygodniami miłych gości swego króla. Odwiedziła dwór angielski norweska para królewska. A wiadomo, że największą sympatyą świata cieszy się ten najnowszy monarcha europejski i jego rodzina. Czytelnicy z przyjemnością znajdują w pismach liczne szczegóły z życia króla Hakona i jego małżonki, królowej Maud, a zwłaszcza malutkiego królewicza Olafa. Widzimy ich wszystkich na naszej rycinie, wraz z królewską parą angielską. Niezbyt dawno pisaliśmy z okazyi koronacyi o nowym królu i jego rodzinie, poprzestajemy tedy dzisiaj na zamieszczeniu wspomnianej illustracyi z okazyi wielkich i wspaniałych festynów, jakie wyprawiono w Anglii na przyjęcie koronowanych gości z Norwegii.

W myśl obowiązujących dwór wielkobrytański przepisów o przyjmowaniu koronowanych gości, zamieszkała królewska para z synkiem w Windsorze, w apartamentach historycznych, zajmowanych niegdyś przez Napoleona III, cesarzową Eugenię, cesarza Aleksandra i innych panujących, którzy w ostatnich lat dziesiątkach gościli w stolicy Anglii. Tradycyjnym zwyczajem powitało dostojnych gości *City of London* bankietem w Guild Hall, a nadto na czas przyjazdu króla do Londynu, pozostawiono w City flagi i dekoracye uliczne, które w tygodniu poprzednim służyły do wielkich uroczystości przy wjeździe nowego lorda-majora stolicy.

Kulminacyjnym jednakowoż punktem uroczystości wydanych na cześć gości norweskich, było przyjęcie króla Hakona w poczet rycerzy orderu Podwiązki. W czasie przyjęcia, które z tej okazyi odbyło się w Windsorze, roztoczono olbrzymi przepych, jaki bywa w takich uroczystościach rozwijany w Wielkiej Brytanii. Zważywszy zaś, iż w Anglii udzielanie orderów należy poniekąd do rzadkości, nie trudno więc sobie wyobrazić, iż fakt odznaczenia kogoś najwyższym orderem Podwiązki, należy niemal do historycznych rzadkości. Wszakże w ciągu 600-letniego istnienia tego orderu przyjęto w poczet jego rycerzy zaledwie 830 osób. Jednym z ostatnich zamianowanych przez króla angielskiego rycerzy orderu Podwiązki był cesarz Napoleon I. Wielki.

Odznaczenie za granicą polskiej krawczyni.

Nasze panie przywykły, w tradycyi po swych babkach, chlubić się garderobą z Paryża. Wogóle wszystko, co tylko nosiło markę zagraniczną, a w dziedzinie mody w szczególności paryską, miało u nas zawsze urok największy. I długich lat trzeba było, żeby rozwój naszych rękodzieł przekonał publiczność, że i w kraju można znaleść wyroby swojskie nie ustępujące dobrocią obcym. Dziś z każdym rokiem jest już lepiej pod tym względem i rozsądniejsza część publiczności, z pobudek obywatelskich przedewszystkiem, zaczyna właśnie chlubić się teraz tem, że nabywa wyroby krajowe, jak poprzednio chciała imponować — że wszystko sprowadzała sobie z zagranicy. Dużo w tym kierunku zdziałali patryoci, którzy na łamach prasy nawoływali kraj do tego przez czas długi wytrwale. Ale zdaje się, że najwięcej zawdzięczamy pod tym względem owej dziwnej słabości natury naszej, która każe nam inaczej słu-



Nowy rycerz orderu Podwiązki: Bawiący w gościnie u dworu angielskiego w Londynie młodzi królestwo norwescy; od lewej ku prawej: król Edward VII angielski, obok jego zięć Hakon, nowy król Norwegii, dalej tegoż małżonka królowa Maud i ich synek, następca tronu, królewicz Olaf, którego za rękę trzyma jego babka, królowa Aleksandra angielska.

chać swojskiego śpiewaka w sali koncertowej, jeżeli już o nim czytało się w gazetach, iż zbierał laury na scenach czy estradach zagranicznych, aniżeli wtedy, gdy pracował choćby najusilniej wyłącznie w kraju wśród swoich.... To samo z jakiemkolwiek dziełem rąk polskich. Dopóki nie nosi ono stempla zagranicznego, lekceważymy je; a niechby to samo, bez zmiany, wystawione na rynku światowym w obcym kraju, zostało tam odznaczone medalem czy dyplomem — już stajemy się z niego dumni i sami zaczynamy je chwalić, gotowiśmy nawet kupując — przepłacać.... Stara to maksyma, że nikt nie jest prorokiem wśród swoich, we własnym kraju....

* * *

Z chwilą, gdy polskie wyroby krawiectwa damskiego mogły się wykazać zagranicznemi odznaczeniami, uwierzyły wreszcie i nasze panie, że można ubierać się nietylko w Paryżu. A skutek tego był nader pomyślny dla rozwoju zakładów krawieckich, gdyż znajdując coraz szerszą i lepszą klientelę na miejscu w kołach wytworniejszych, pracownie podnosiły się i z każdym rokiem ulepszały, doskonaliły. Dziś już we wszystkich dzielnicach Polski mamy swojskie magazyny mód na wielką skalę, w których ubierają i stroją się miejscowe wytwornisie. To też wszędzie organizują się kursa i szkoły kroju i szycia, z których wychodzą dobre krawczynie.

* * *

Świeżo wielkie odznaczenie spotkało na wystawie w Medyolanie pierwszą cechową mistrzynię kunsztu krawieckiego w Warszawie, panią Eufemię Pilniakowską, nagrodzoną wielokrotnie na wystawach światowych. Oto Włosi przyznali jej wielki złoty medal wystawy medyolańskiej. Poza kursami dla kobiet, które zorganizowała i prowadzi w Warszawie, jest p. Pilniakowska autorką nagrodzonej dyplomem na wystawie paryskiej metody kroju tak dalece przystępnie i łatwo ułożonej, że daje możność wyuczenia się kroju bez pomocy nauczyciela. Zamieszczamy tu z powyższej okazyi fotografię szkoły kroju i szycia p. Pilniakowskiej; widać na niej mistrzynię odznaczoną w otoczeniu uczenic.

Jubileusz Wojdałowicza.

W szeregu polskich komików, Wojdałowicz zdobył sobie pierwszorzędne stanowisko; niezapomniany na scenach krakowskiej i lwowskiej, cieszy



Jubileusz Wojdałowicza: Znany artysta scen polskich, Władysław Wojdałowicz, który wkrótce obchodzić będzie w teatrze warszawskim jubileusz 30-letniej swej działalności

on się równem uznaniem i sympatyą w teatrze warszawskim, gdzie niebawem święcić będzie trzydziestoletni jubileusz swej pracy aktorskiej. Wojdałowicz rozpoczął zawód na scenie krakowskiej za dyrekcyi Koźmiana i z tej wybornej szkoły wyniósł przedewszystkiem prawdziwe zamiłowanie dla sztuki, gorliwą pracę i poważne pojęcie zadań artystycznych. Talent wsparty temi zaletami rozwija się też szybko z prawdziwą korzyścią dla sceny, tak, że w krótkim czasie Wojdałowicz z małych ról, przechodził do większych, obejmując całą spuściznę ról po znakomitym komiku Zamojskim.

Krytyka nie szczędziła pochwał dla gry Wojdałowicza, która stawała się coraz więcej barwną, zajmującą, uplastyczniającą wesołe kreacye w zdrowym, czerstwym, pogodnym i naturalnym komizmie, a autorzy dramatyczni tej miary jak Anczyc, Bałucki, Bliziński i Koziebrodzki, starali się zawsze usilnie, aby Wojdałowiczowi powierzano główne role w ich sztukach, które przez długie lata były podwaliną polskiego repertuaru. Anczyc zwykł mawiać, że nie miał lepszego Szczepanka w „Chłopach arystokratach“ jak Wojdałowicz, a Bliziński twierdził, że nikt lepiej od Wojdałowicza nie grał „Pana Damazego“; w komedyach Bałuckiego stworzył mnóstwo typów, które żyć będą w tradycyi narodowego teatru; nie mniej i inni polscy autorzy dawniej w Galicyi, a od szesnastu lat w Warszawie wiele powodzenia zawdzięczają grze Wojdałowicza. Skala talentu Wojdałowicza pozwala mu nie tylko w polskich sztukach zdobywać tryumfy, bo i w francuskich komedyach stwarza on wiele ról, podnosząc je do znaczenia typów — szczególniej postacie dorobkiewiczów, zubożałych panów itd., które w grze jego wywołują zawsze szczerą wesołość i huczne oklaski.

Ta wszechstronność talentu Wojdałowicza, w trzydziestoletnim okresie działalności, wydała też imponujące rezultaty, bo stworzył kilkaset ról, wiele z nich znakomicie, żadnej źle. Większa to korzyść dla sztuki, aniżeli wirtuozostwo w kilku rolach. Pomimo tych trzydziestu lat, talent Wojdałowicza nic nie utracił ani na sile, ani na humorze. Jest on zawsze równie świeży i pogodny, tak jak jego melodyjny głos, w którym brzmi ciepła nuta, ujmująca serdecznie publiczność w scenach rzewnych i tkliwych. Znużenia lub wyczerpania nie znać nigdy — przed oczyma widzów staje zawsze na scenie dzielny i wytworny artysta z godnością i poważnie traktując swój zawód.

Wśród ciężkich i trudnych okoliczności, jakie scena warszawska obecnie przeżywa, jubileusz ten nie przebrzmi cicho. Publiczność i świat artystyczny gotują się do złożenia życzeń swemu ulubieńcowi w dniu benefisowego przedstawienia. Z.



Fot. zakład J. Raczyńskiego, Warszawa.

Odznaczenie za granicą polskiej krawczyni: Pierwsza cechowa mistrzyni kunsztu krawieckiego w Warszawie, p. Eufemia Pilniakowska, nagrodzona wielkim złotym medalem na obecnej wystawie w Medyolanie; szkoła kroju i szycia E. Pilniakowskiej w Warszawie (mistrzyni w otoczeniu uczenic).

Bomby w Rzymie.

Korespondenci z Rzymu zapewniają, że bomby w „wiecznem mieście“ to gruby figiel, czy też figle jakiegoś półwaryata bawiącego się w anarchistę. Ci prawdziwi bowiem, niebezpieczni anarchiści włoscy nie siedzą w Rzymie, lecz w Szwajcaryi i w Ameryce. Taki więc, co to nie miał nic lepszego do roboty, podłożył bombę w kawiarni Aragno na Corso w samym środku Rzymu. Bomba jak bomba, ale był to kartonowy kufereczek, w nim dużo prochu i gwoździ i zapalony lont. Kiedy kawiarnia była pełną ludzi wewnątrz i na zewnątrz, pudło wybuchło z hukiem i burym dymem napełniło wejście. Popłoch stał się wielki, szyby wypadły z brzękiem, gwoździe rozleciały się w powietrze i prócz osmolenia paru osób wybuch nie zrządził szkód poważniejszych. Podobnie było w Bazylice św. Piotra nazajutrz, o czem pisaliśmy już szerzej, dając fotografię katedry. A myślano, że to groźni anarchiści działać zaczynają w przeddzień przybycia króla greckiego do Rzymu i jego wizyty w Watykanie. Załączamy tu fotografię, która przedstawia „gruzy“ rusztowań, zabrane na policyę, jako corpus delicti po bombie.

Afera głośnego tenora.

Sławny na obu półkulach świata śpiewak Caruso, którego dobrą podobiznę widzą tu Czytelnicy, został w Nowym Jorku aresztowany za to, że zaczepiał w ogrodzie Zoologicznym, w pawilonie małp, przyzwoicie zachowujące się kobiety. Wiadomo zaś, że społeczeństwo amerykańskie jest na tym punkcie bardzo drażliwe i sądy tamtejsze bez ceremonii karzą cudzoziemców, którzy nie wiedząc o tem, ośmielą się na ulicy, czy w jakiej sali publicznej napastować Amerykankę, niedającą powodu do zaczepek. Tenor Caruso jest wielkim ulubieńcem kobiet, to też stał się pod tym względem niezwykle zarozumiałym; przekonany, że nie oprze mu się żadna kobieta, pozwala sobie zaczepiać każdą, która mu się tylko podoba. Powiadają jedni, że kobiety same zepsuły do tego stopnia pięknego tenora, który rozzuchwalił się wreszcie do niemożliwości; inni utrzymują, iż Caruso jest erotomanem i wybryki jego w tym kierunku są poprostu chorobliwe. Dość powiedzieć, że detektyw, który



Bomby w Rzymie: Zniszczone wybuchem maszyny piekielnej rusztowanie w bazylice św. Piotra.

obserwował donżuana przez czas dłuższy w nowojorskim ogrodzie zoologicznym zrazu w pawilonie wężów, a potem w budynku małp, utrzymuje, że Caruso ma np. umyślnie w tym celu urządzony rozporek w kieszeni płaszcza, przez który może dotykać kobiety na ulicy czy na wystawie bez wywołania skandalu. Skutkiem kampanii dziennikarskiej, proces głośnego i drogiego tenora o zaczepienie jakiejś damy w Nowym Jorku stał się sensacyjną aferą. Na zapowiedzianą na godzinę 2 gą popołudniu rozprawę przed trybunałem policyjnym przybyły tłumy pań już od wczesnego rana. Niektóre przyniosły ze sobą śniadanie. Woźni chcąc wystraszyć je, pootwierali wszystkie okna i drzwi na oścież, ale żadna z kobiet nie ruszyła się mimo, że w sali panował ścisk straszny. Caruso zjawił się w sali sądowej o 2 giej popołudniu i przeciskając się z trudem przez tłum, nucił sobie po drodze półgłosem jakąś piosenkę, lecz przerwano mu ją wołaniem: „Pawilon małp“. Przed stołem sędziowskim zachowywał się lekceważąco,



Afera głośnego tenora: Sławny śpiewak Enrico Caruso, którego w Nowym Jorku skazano na grzywnę za zaczepianie kobiet w ogrodzie zoologicznym.

zaprzeczając wszystkim zarzutom świadków. Na razie rozprawę odroczono. Rzecz jednak ciekawa, iż na rozprawę nie zjawiła się główna przyczyna procesu, owa pani z pawilonu małp, która najbardziej się oburzyła na zaczepki tenora-donżuana.

* * *

Proces skończył się zasądzeniem Carusa na 10 dolarów grzywny. Śpiewaka wychodzącego z sądu kobiety oczekujące na ulicy zasypały... kwiatami, wznosząc owacyjne okrzyki.

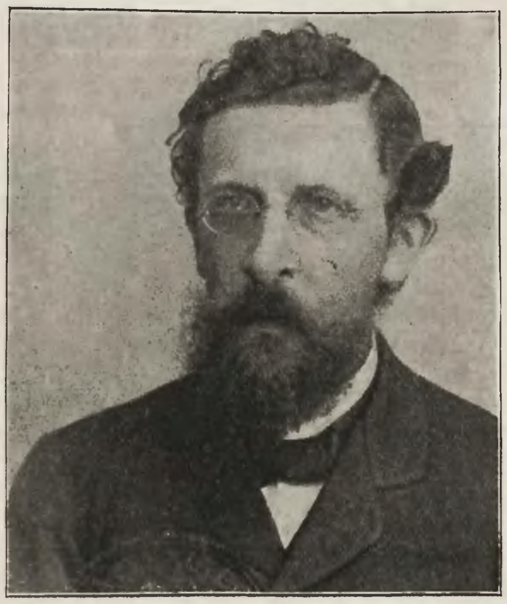
Proces przeciw następcy tronu.

Wkrótce rozważaną będzie przez sąd w Rzymie osobliwa sprawa sądowa z powodu słynnej willi Este w Tivoli pod Rzymem. Jest ona własnością arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d' Este, następcy tronu austryacko-węgierskiego. Wspaniała ta willa, acz dziś już nieco opuszczona, słynie z powodu wiekowych cyprysów, cudnego ogrodu z fontannami i czarownych widoków, jakie stamtęd roztaczają się na „Wieczne miasto“. Wielki ten pałac w stylu odrodzenia wybudował kardynał Hipolit Este, syn Alfonsa I księcia Ferrary i słynnej Lukrecyi Borgiji, córki Aleksandra VI, a bratanek kardynała Hipolita Starszego Estego, który był w Krakowie w r. 1518 na ślubie swojej kuzynki Bony Sforzy, małżonki Zygmunta I. Willa owa przeszła następnie po wielu latach do domu Habsburgów, gdy ostatnia Estówna wyszła pod koniec XVIII stulecia za mąż za arcyksięcia austryackiego. Niedawno zmarły kardynał Hohenlohe, znany ze swej oryginalności, zawarł w 1859 układ z ostatnim księciem Modeny, Franciszkiem V



Proces przeciw następcy tronu: Widok słynnej z powodu wiekowych cyprysów willi Este w Tivoli pod Rzymem, o którą wytoczono proces jej właścicielowi arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi, następcy tronu w Austro-Węgrzech.

Mocą tego to układu kardynał Hohenlohe otrzymał pozwolenie mieszkania w willi Este pod warunkiem, iż będzie ją stale utrzymywał w dobrym stanie. Nadto w razie sprzedaży willi miał kardynał Hohenlohe otrzymać trzecią część ceny sprzedażnej, gdyż w dalszym ciągu miałby naprawić znacznym kosztem popsute fontanny w ogrodzie. Po dziś dzień nie znalazł się nabywca na słynną willę. A tymczasem kardynał Hohenlohe, nie zbyt ściśle dotrzymujący warunków układu, umarł. Spadkobiercą swoim ustanowił on Włocha Nobilego, który zaczął dopominać się u rządu austryackiego zwrotu wyłożonych przez zmarłego kardynała kosztów na utrzymanie w dobrym sta-



Honorowy doktor: Profesor gimnazyum św. Jacka w Krakowie, a najznakomitszy w Europie badacz i znawca pająków, autor słynnego dzieła „Araneae Hungariae“, Władysław Kulczyński, mianowany honorowym doktorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

nie willi Este w sumie 320.000 lirów. Nie uzyskał ich jednak w Wiedniu, więc pozwał przed sąd rzymski właściciela willi — arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Proces ten zajmujący i niezwykły, który ma się wkrótce rozpocząć, budzi wielkie zaciekawienie zwłaszcza w kołach dworskich i wśród arystokracyi wszystkich krajów.

Honorowy doktor.

Uniwersytet Jagielloński przeżył w tych dniach podniosłą chwilę. W sali *Collegii novi* odbyła się nader rzadka uroczystość wręczenia dyplomu doktora filozofii *honoris causa*. W tak niezwykły sposób odznaczono znanego w Krakowie profesora gimnazyum św. Jacka, a uczonego sławy światowej — Władysława Kulczyńskiego. Szersze koła polskiej publiczności, dowiedziały się zapewne dopiero przy tej sposobności, że świat naukowy ceni w prof. Kulczyńskim najznakomitszego w Europie arachnologa (badacza i znawcę pająków). I za to właśnie Uniwersytet Jagielloński nadał najwyższą godność swoją doktora honorowego autorowi dzieła „Araneae Hungariae“.

Władysław Kulczyński jest Krakowianinem; w mieście rodzinnem kończył gimnazyum i uniwersytet, poczem oddał się zawodowi pedagogicznemu. Dawniej był profesorem w gimnazyum św. Anny, obecnie pełni te obowiązki u św. Jacka. Po za tem znakomity ten uczony oddaje się w zupełności badaniom na niwie przyrodniczej. Od lat 26 jest bez przerwy sekretarzem komisyi fizyograficznej krakowskiej Akademii Umiejętności, a od lat 11 członkiem korespondentem tejże Akademji. Prace jego ogłaszają drukiem Akademje Umiejętności krakowska, wiedeńska, budapeszteńska i petersburska, a z badań prof. Kulczyńskiego korzystali uczeni tej miary, co Boesenberg w Niemczech i Strauch w Norwegii. Dwanaście lat poświęcił zasłużony badacz pająków pracy nad najwybitniejszem swem dziełem o pająkach węgierskich. Dwutomowe to dzieło o 520 stronicach w dużej czwórce, noszące tytuł łaciński „Araneae Hungariae“, cieszy się rozgłosem światowym, a zjednało mu obok licznych zaszczytów — pierwszorzędne stanowisko naukowe. W tej dziedzinie nauk przyrodniczych jest on powagą. A do tak wysokiego stanowiska w świecie naukowym doszedł mrówczą pracą, wytrwałością cierpliwą, nie zniechęcając się nigdy trudnymi warunkami, w jakich musiał odbywać swoje badania. Przedmiot swój tak umiłował serdecznie, iż jest nadzieja, że prof. Kulczyński niejedną jeszcze pracą przyczyni się do rozwoju nauki wszechświatowej, tem bardziej, że nowy doktor honorowy naszej Almae Matris znajduje się w pełni lat męskich.

Uroczystość wręczenia mu dyplomu zgromadziła w sali Collegii novi liczne grono osób przedewszystkiem ze świata naukowego Na estradzie wśród wszystkich dziekanów oraz profesorów wydziału filozoficznego, zajął pierwsze miejsce, w zastępstwie chorego rektora Morawskiego, prorektor Pawlicki. W krzesłach w pierwszym rzędzie obok bliższej i dalszej rodziny sollenizanta zasiedli profesorowie gimn. św. Jacka z dyrektorem Bednarskim, dalej miejsca zajęła młodzicż akademicka, a przed gmachem ustawiła się ze swą orkiestrą młodzież gimn. św. Jacka. Doktoranta wprowadzono na salę uroczyście w otoczeniu bereł akademickich. Przemówił do niego pierwszy prof. dr. Rudzki jako dziekan wydziału filozoficznego, wręczając mu drukowany na pergaminie dyplom z pieczęcią uniwersytecką, zaświadczający mianowanie Władysława Kulczyńskiego honorowym doktorem filozofii. Za to wysokie odznaczenie dziękował prof. Kulczyński w słowach serdecznych, w skromności swej uznając, że przez tak wysoki zaszczyt zaciągnął jeszcze i wobec tej przesławnej szkoły dług, który spłacać trzeba będzie aż do śmierci. Z kolei podniósł zasługi dra Kulczyńskiego w Akademji Umiejętności prorektor ks. Pawlicki, poczem wszyscy obecni składali odznaczonemu życzenia. Przy wyjściu, ukochanego profesora powitała przy dźwiękach swej orkiestry młodzież gimnazyalna.



Zmiany w Burgu: Przeorysza klasztoru szlacheckiego na Hradczynie w Pradze, arcyksiężna Marya Annunciata, która została teraz pierwszą damą dworu w Burgu wiedeńskim.

Zmiany w Burgu.

Z powodu śmierci arcyksięcia Ottona zaszła w Burgu wiedeńskim potrzeba zmiany rang, zajmowanych przez arcyksiężne i arcyksiężniczki przy ceremoniałach dworskich. Dotychczas właśnie poniekąd rolę gospodyni domu na balach i innych uroczystościach dworskich spełniała małżonka śp. Ottona, arcyksiężna Marya Józefa, która zajmowała pierwsze miejsce pomiędzy żeńskimi członka-



Na kursie pisarskim: Grono nauczycielskie urządzonego przez Wydział Krajowy we Lwowie kursu dla pisarzy gminnych — w otoczeniu uczniów Polaków i Rusinów.

mi rodziny cesarskiej. Teraz z powodu żałoby po mężu nie może nadal pełnić tych czynności, przeto musiał cesarz powołać bezzwłocznie na jej miejsce inną arcyksiężną. Ponieważ zaś wdowa po Karolu Ludwiku, arcyksiężna Marya Teresa nie chciała podjąć się tych obowiązków reprezentacyjnych, które już przez pewien czas spełniała po śmierci cesarzowej Elżbiety, powierzył cesarz tę najwyższą żeńską rangę dworską jej córce niezamężnej arcyksiężnej Maryi Annuncyacie (dajemy dziś jej portret), która jest przeoryszą szlacheckiego klasztoru żeńskiego na Hradczynie w Pradze. Tradycya rodzinna nakazuje, by honory gospodyni domu w pałacu cesarskim spełniała jedynie arcyksiężna należąca do najściślejszego kółka rodzinnego cesarza, taka, która albo sama, albo której mąż pochodzi w prostej linii od cesarza Franciszka. Do takich właśnie należy powołana na to stanowisko dworskie arcyksiężna Marya Annuncyata.

Największe prawa do objęcia stanowiska pierwszej damy dworu miały arcyksiężna Alicya Toskańska, żona arcyksięcia Piotra Ferdynanda i arcyksiężna Marya Krystyna, córka Alfonsa Bourbon hr. Caserty. Wobec tego jednakże, że arcyksiężna Alicya niechętnie opuściłaby swą liczną rodzinę i rezydencyę salzburską, wybór padł ostatecznie na siostrzenicę cesarza, arcyksiężnę Maryę Annuncyatę, która jako opatka zakonu, zajmuje z mocy swej godności wśród arcyksiężnych stanowisko zamężnej. Na czele więc dam dworu cesarskiego staje prawnuczka cesarza Franciszka, w prostej linii pochodząca od założycieli domu



Fot. dla „Now. Ill.“ St. Marynowski.
Strejk w gazowniach: W czasie strejku w gazowni przy ul. Ludnej w Warszawie, saperzy przy „retortach“.



Burzliwy strejk krawiecki: Zniszczona przez strejkujących czeladników krawieckich w Warszawie wystawa najbogatszego magazynu gotowych ubrań żyda rosyjskiego Chazanowa w gmachu Tow. „Rosya“ przy ul. Marszałkowskiej, który nie chciał zamknąć sklepu na czas strejku (olbrzymia szyba lustrzana wytłuczona).

habsbursko-lotaryńskiego, Maryi Teresy i Franciszka Lotaryńskiego.

Bale dworskie w przyszłorocznym karnawale odbędą się jak zwykle, żałoba bowiem po arcyksięciu Ottonie kończy się wcześniej.

Na kursie pisarskim.

Zamieszczamy dziś zbiorową fotografię odbywającego się w Wydziale krajowym we Lwowie kursu przygotowującego Polaków i Rusinów na pisarzy gminnych, z gronem profesorskiem pośrodku. Są to panowie Brąglewicz (kierownik), Latoszyński, Masłowski, Szczerbowski, Przygodzki, Frydman, Birgenmajer, Ruziczka, w otoczeniu swych licznych uczniów. Między tymi wielu chłopów. Ale także uczęszczają na ten pożyteczny kurs ludzie, którzy nie mieli zamiaru poświęcić się zawodowi pisarza gminnego, a dziś wytężają wszystkie siły, byle wyuczyć się na kursie wszystkiego, czego im potrzeba dla uzyskania kwalifikacyj na pisarza wiejskiego. Jest tam między innymi kapral, który po wysłużeniu czterech lat przy czynnej armii przebywa teraz w lwowskim domu inwalidów z powodu nadwątlonego zdrowia. Wystarał się o pozwolenie u władz przełożonych i jakkolwiek bardzo mu trudno utrzymać się w mieście podczas czteromiesięcznego kursu (traci bowiem wikt u inwalidów) pracuje pilnie i chętnie, bo — jak powiada — zatęsknił do strzechy rodzinnej. Mamy list jego, w którym wyraża swą wdzięczność dla kierownika i grona nauczycielskiego kursu. Słowa to szczere i ujmujące. Obyśmy w kraju mieli więcej takich, jak on, garnących się chętnie do oświaty i pragnących stać się pożytecznymi dla swej wsi rodzinnej.

Burzliwy strejk krawiecki.

Od pewnego czasu w Warszawie trwał strejk pracowników warstatów krawieckich, a kiedy miał już do końca dobiegać, zaszły liczne wybryki ze strony strejkującej czeladzi.

W wielu większych zakładach, zwłaszcza w znanych składach gotowych ubrań, powytłukano szyby, poniszczono wystawy, a majstrów lub właścicieli pobito.

Stało się to mimo wzmocnionych patroli na mieście.

W szczególności przy ulicy Marszałkowskiej zniszczono przy tej okazyi wystawy wspaniałe największych składów krawieckich, jak np. znany magazyn Chazanowa w gmachu Tow. „Rossja“.

Na jednej z naszych fotografij widać właśnie rozwaloną szybę wystawową olbrzymich rozmiarów, za którą znajduje się skład reklamowy gotowej garderoby tego najbogatszego magazynu w tym rodzaju w Warszawie — Chazanowa, żyda rosyjskiego.



Burzliwy strejk krawiecki: Zniszczona przez strejkujących czeladników krawieckich w Warszawie wystawa magazynu ubiorów męskich Emila Schmechla przy ul. Marszałkowskiej.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

7 Ciąg dalszy.

Pani Cawdrey mimo bacznego śledzenia nie dojdzie z pewnością do przekonania, że prócz Owena był w kuchni i Bodger — prędzej przypuści, że wiatr wybił szybę.

Arnold wybiera się z wizytą.

— No, jakżesz tam z Anną — zapytał Arnold w sobotę rano podczas śniadania — noc spędziła spokojnie?

— Gdzietam! — odpowiedziała panna Derwent ze łzami w oczach — noc ta pozostanie mi długo w pamięci. Co ta Anna musiała przecierpieć! Ile razy zasypiała, wnet zrywała się nagle, wołając, że ją ktoś dusi. Doktór Viret przypuszcza, że jeszcze jedna taka noc, a Anna skończy!

— No, skoro sprawa tak się przedstawia, zmienić się nic nie da. Wiesz Floro, że wybieram się właśnie z wizytą.

— Do kogóż? — spytała panna Derwent, spoglądając na Arnolda z niemałem zdziwieniem.

— Do jednego z naszych kochanych sąsiadów! Dlaczego nie mam się zrewanżować Fairfordowi za jego ostatnią wizytę? Złożę mu tylko moje uszanowanie! Lecz czyż masz co w istocie przeciwko temu, masz jakiś ważny powód, któryby mnie mógł powstrzymać od tego?!

— Nie pytaj Arnoldzie o powody, lecz proszę cię na wszystko, jeżeli mnie kochasz, jeżeli chcesz mi oddać wielką przysługę, zaniechaj tego, nie chodź niepotrzebnie do Fairforda!

— Wiesz kochana kuzynko — odpowiedział Arnold nie mało zdziwiony tą sceną — niewiele takich rzeczy, którychbym nie chciał zaniechać z chwilą, gdy ty żądasz tego odemnie. Ale powiedz mi Floro, czy tobie bardzo na tem zależy, ażeby zedrzeć zasłonę tajemniczości, jaka spoczywa na stryju? — zapytał wreszcie zaciekawiony.

— Sam wiesz o tem najlepiej — odpowiedziała z mocą panna Derwent — jak się staram o to, jak tego pragnę. Lecz ani pan Fairford, ani nikt z naszych sąsiadów nie da ci w tej sprawie najmniejszych wyjaśnień lub wskazówek. Oni wiedzą tyle, co i my!

— Ja nie wiem o niczem! Byłem wtedy za granicą jeszcze — jestem przekonany, że on zna tę sprawę dokładnie. Im głębiej zastanawiam się nad tem, tem silniej poczynam wierzyć, że tajemnicza owa dama, spacerująca niewiadomo z jakich powodów nocną porą, nie jest w tej sprawie bez winy. Fairford sam się czuje niepewny, może nie tylko dlatego, że ową damę u siebie ukrywa!

— Więc moją prośbę odrzucasz? — spytała Flora, powstając nagle z krzesła.

— Bogiem a prawdą — odpowiedział zdecydowany Arnold po małym namyśle — wolałbym przychylić się raczej do twojej prośby. Muszę ją jednak odrzucić dla twego własnego dobra!

— Brednie! — zawołała panna Derwent doprowadzona do rozpaczy — nie troszcz się o mnie zupełnie!

W chwili, gdy Arnold zjawił się z zapowiedzianą wizytą u Fairforda, stał Owen na stopniach przy bramie wchodowej i zamyślił się nad czemś głęboko.

— Co za wspaniały poranek — zawołał z daleka Arnold wesoło — u mnie w domu tak pusto i smutno, że chciałem się troszkę wraz z panem rozerwać. No, jak widzę, to i pan próżniaczy, panie Owenie! Pozwoli pan, że wnijdę na chwilkę do środka i spocznę..

Owen zdawał się zwlekać z odpowiedzią, Arnold był widocznie jednak przygotowany na podobne przyjęcie, gdyż nie zważał na na niezbyt gościnne słowa Fairforda.

— Niech pan wejdzie — przemówił wreszcie Owen, tonem, który mógłby zrazić zupełnie, nawet najmniej czułego — proszę do mojej jadalni, pozwoli pan pewnie małą przekąskę?

— Niemam nic przeciwko temu! — odrzekł łtenże — Flora opowiadała mi nieraz, że odgrodziłeś się pan podobno od reszty świata iście chińskim murem — nie lubisz pan towarzystwa?

Owen skinął potakująco.

— Nie! Nie rozumiem doprawdy! Jak pan zatem czas przepędza? Strzela pan? Poluje?

— Teraz? W kwietniu? — zaśmiał się Owen.

— Pardon! — zapomniałem! Ale do rzeczy! Do rzeczy! W innym celu tutaj przybyłem. Wstaw się pan tylko w moje położenie! Mieć tysiąc funtów szterlingów rocznego dochodu i nie módz rozporządzić jednym głupim szyllingiem nawet — to, sam pan przyznasz, może doprowadzić do rozpaczy każdego! Sytuacya zmieni się całkowicie, skoro dostarczę niezbitych dowodów śmierci mego stryja. Nie tyle mi chodzi o wydanie morderców w ręce sprawiedliwości...

— O ile stryj pański zginął z rąk morderców!...

— Więc pan przypuszcza, że może być inaczej?

— Co do mnie — odpowiedział Owen spokojnie — to powiem panu otwarcie, że w mojej naturze już leży nie wydawać nigdy przedwczesnych, niedojrzałych sądów. Wolę poczekać cierpliwie, aż sprawa sama się zwolna wyjaśni.

— Tam do kata — zawołał zniecierpliwiony Arnold — wszak musisz pan na to zapatrywać się z pewnego, rdzennie subjektywnego stanowiska!

— Gdybym zmuszony był wyjaśnić moje osobiste zdanie, powiedziałbym otwarcie, że stryj pański popełnił samobójstwo!

— Gdzież zwłoki jego?

— Gdybym był w stanie odpowiedzieć na to pytanie, sprawa przestałaby być już dawno bolesną zagadką. Pan Derwent szalał najwidoczniej z rozpaczy po utracie swej żony, gdyż nie mógł znaleść chwilki spokoju. O jedenastej słyszano, jak wołał zmarłej małżonki, co najlepszym dowodem, że stan jego nie był zupełnie naturalny. Zdania inspektora Holta, jakoby stryj pański wyszedł wtedy z mieszkania bez widocznego zamiaru, nie podzielam i to z tego względu, że pamiętam dokładnie wypadki, kiedy samobójcy dokładali jak największych starań, ażeby zatrzeć ślad ich rozpaczliwego kroku.

— Znakomicie — odezwał się Arnold, zapalając się coraz bardziej — powiem panu teraz, co ja o tem myślę. Czy pamięta pan jeszcze tę komiczną historyę z córką grabarza, którą opowiadała nam moja kuzynka?

Arnold czekał naprożno na odpowiedź. Blada twarz Owena świadczyła wyraźnie o walce wewnętrznej, jaka toczyła się w głębi jego duszy. Podniósł niedbale kieliszek i zbliżył go zwolna do drżących ust.

— Czy pamięta pan to jeszcze? — spytał Arnold powtórnie.

— Tak! Pamiętam — odparł Owen, niemile dotknięty ponownem pytaniem.

— Co najciekawsze, że stwierdzono, że owa tajemnicza dama spaceruje sobie po wsi dość często!

— Dotąd widziano ją raz tylko!

— A jednak zastanawia mnie ona poważnie! Nikt jej bliżej nie zna, nikt nie wie, jak i z czego żyje — widziała ją tylko nasza służąca — czyż to podobna, aby spacerowała nocą, nie mając zresztą bardzo ważnego powodu?

— Należałoby zgodzić się na przypuszczenie, że do nocnych wycieczek musi mieć jakieś ważne powody.

— Przypuśćmy, że to waryatka!

— Śmiej się pan z tego!

— Bezrozumna istota, najkompletniejsza waryatka, zasługująca na politowanie!

— Chciałbym tę sprawę koniecznie wyświetlić i gdybym mógł udowodnić, że ta waryatka widziała stryja owej nocy krytycznej...

Fairford powstał z fotelu i siląc się na zachowanie spokoju, począł wyglądać przez okno.

— Moja fantazya nie zaspokoi pana — powiedział po głębokim namyśle.

Arnold przejął się tą sprawą mimowoli do głębi. Zerwał się również z miejsca i przyskoczywszy do stojącego pod oknem Owena, zawołał z mocą:

— Klnę się na wszystko, że tę kobietę zdemaskuję wreszcie!

— Prawdopodobnie i ona nie wyjaśni tej kwestyi, wszak może być równie jak i my niewinna!

Walczył z samym sobą i mimo całej siły i energii, jaką rozporządzał, znać było po jego wyglądzie zewnętrznym, że każde słowo z trudem przechodziło mu przez gardło.

— Jeśli niewinna — zawołał Arnold — dlaczego nie postępuje otwarcie?!

— Skoro sama nic nie wie!

— Temu nie mogę uwierzyć! Niewinną być może, przyznaję, lecz, że sprawa ta jasną dla niej zupełnie, tego nikt nie może zaprzeczyć. Przysięgnę, że stryja widziała ostatnia! Dlaczego otacza się tajemnicą?

— Musi mieć ważne powody, panie Arnoldzie! — ważne powody — powiadam — dodał Owen z naciskiem — które nic nie interesują reszty ludzi! Rozumiesz mnie pan?!

— Postaram się o odgadnięcie tych ważnych powodów! Jeżeli ma przyjaciół na swoje usługi, zrobiliby mem zdaniem najrozsądniej, gdyby zechcieli iść ze mną, gdyby otwarcie wszystko wyznali. W przeciwnym razie winę sobie tylko przypiszą. Co do tej tajemniczej osoby, to klnę się na wszystko, że zedrę z jej twarzy zasłonę przy pierwszem lepszem spotkaniu!

— Zważ pan, że to kobieta!

— Mało mnie to obchodzi! Wystąpię śmiało do walki, choćbym miał walczyć z samą czarownicą!

— Przed chwilą powiedziałeś pan dopiero, że tajemnicza osoba może mieć silnych wspólników — dodał Owen z naciskiem.

Spoglądali na siebie z bezgraniczną nienawiścią.

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiał się wreszcie Arnold — nie boję się już tych wspólników. Zadaniem mojem dostarczyć dowodów śmierci mego stryja i dostać w spadku majątek, nie myślę zatem interesować się dalej tą damą, o ile nie pozostaje w łączności z mą sprawą. Ale zapomniałem, w jakim celu tutaj właściwie przyszedłem. Chciałem porozmawiać z panem chwileczkę. Czas szybko ucieka, a Flora czeka mego powrotu z łatwo wytłómaczoną niecierpliwością, wybacz pan więc, że go muszę pożegnać!

Idąc z Owenem korytarzem, przystanął na chwilę, chcąc się dokładniej przypatrzeć rozkładowi całego mieszkania.

— Wcale wspaniałe schody — odezwał się z zainteresowaniem — nie możesz skarżyć się pan na brak miejsca u siebie; pewnie dlatego urządziłeś sobie piętro górne. No! Do widzenia! Do widzenia!

Fairford powrócił do swojej sypialni i wsparłszy głowę na rękach, zadumał się nad tem wszystkiem głęboko. Ktoby widział tę straszną przerażającą rozpacz, jaka malowała się obecnie na jego obliczu, musiałby mieć chyba serce z kamienia, gdyby nie zapłakał nad nim.

Lecz i Arnold nie zadowolony był z przebiegu a raczej z wyniku wizyty.

— Żałuję, że nie pozostałem w domu i nie zrobiłem dla ciebie tak małej błahostki — odezwał się do Flory przy drugiem śniadaniu — teraz już późno naprawić to wszystko! Czego nie żałuję jednak, to tej pewności, jaką zyskałem, rozmawiając z Fairfordem. Jestem najzupełniej przekonany, że tajemnicza osoba mieszka w domu Fairforda. Ukrywa się na górnem piętrze. Boże! Ileż dałbym za to, abym mógł dostać się tam, choćby na chwilę! Niestety, zrobiłem głupstwo i pozwoliłem Fairfordowi przejrzeć plan całej mojej kampanii. Zna moje karty na wylot!

— Nie rozumiem, o co ci chodzi!

— Sprawa jasna jak słońce! Owen zrozumiał, że patrzę mu bacznie na palce. Ostrożność zdwoi zatem w trójnasób, a tajemnicza dama, jeśli Fairfordowi rzeczywiście zależy na tej tajemnicy, pozostać może na długo nieprzystępną zagadką.

ROZDZIAŁ XV.

Atak i klęska.

Wieczorem pozostał Arnold sam jeden w pokoju. Zastanawiał się i rozważał głęboko poszczególne punkty sytuacyi, a Flora poszła tymczasem do Anny, której stan znowu się zaczął pogarszać. Kiedy powróciła po jedenastej, aby mu powiedzieć dobranoc, zdziwiła się niemało, gdy Arnold prosił, aby światła nie gasić, gdyż prawdopodobnie zmuszony będzie wybrać się na małą wycieczkę za chwilę.

Flora spojrzała na niego z boleścią.

— Dokąd wybierasz się znowu?

— Chciałem upewnić się tylko! Nic zresztą! Drobnostka!

— Myślałam, że miałeś dosyć tej wizyty u Owena!

— Tak przypuszczałaś? A ja nie rozpocząłem nic jeszcze właściwie! Powiadam ci Floro, że śledził będę tę damę z nadludzką wytrwałością.

— Zapomnij o tem wszystkiem Arnoldzie! Dla mnie zechciej odstąpić od niepotrzebnych badań. Wszak Fairford był szczerym przyjacielem ojca — dziś rano byłeś u niego, aby go męczyć niedorzecznem i niczem nieuzasadnionem badaniem. Arnoldzie, błagam cię na wszystko, zechciej wysłuchać tym razem mojej prośby, nie chodź tam więcej!

— Bardzo mi przykro, ale! Wiesz, jeśli mam prawdę powiedzieć, to gniewa mnie to, że on cię interesuje tak bardzo, choć znacie się od trzech miesięcy zaledwie! Idź spać kuzynko! Gdy się jutro rano spotkamy, będziesz mi wdzięczną za wszystko!

Flora załamała ręce z rozpaczy.

Arnold rzucił się niedbale na sofę; układał w duszy plan cały.

Koło północy zerwał się nagle, zniecierpliwiony czekaniem — plan był obmyślany całkowicie.

Noc była nieco zimna i dżdżysta, więc podniósłszy kołnierz do góry, zeszedł zwolna po schodach.

Droga nie była daleka. Pod zwisającemi gałęziami rozłożystej lipy, stojącej tuż obok bramy wchodowej, przystanął, ażeby rozpatrzeć się dokładnie we wszystkiem. Przed sobą widział całe domostwo jak na dłoni, lecz chociaż wytrwał na stanowisku przeszło dwie godziny i wsłuchiwał się w najdrobniejszy szelest z gorliwością Bodgera, nie mógł odkryć nic podejrzanego — dokoła panowała głęboka, majestatyczna cisza, przerywana od czasu do czasu uderzeniem kościelnego zegaru.

Koło godziny jedenastej następnego dnia zjawił się Arnold na śniadanie.

— Szczęście nie sprzyjało mi wczoraj — odezwał się ze złością do panny Derwent — ale sam sobie jestem winien! Swojem wypytywaniem zmusiłem Fairforda do zdwojenia czujności! Poczekam jednak cierpliwie, a czas wykaże niebawem, kto prędzej ustanie, ja czy, Fairford?!

We wsi Rookfield był jeszcze ktoś inny, co się zajmował równie gorąco tą sprawą.

Liza Mogford, wysłuchawszy nabożnie mszy świętej w niedzielę, udała się niezwłocznie do swego ojca, starego grabarza.

Dom Mogforda, nie wielki, lecz utrzymywany w należytym porządku, znajdował się tuż obok cmentarza, położonego na końcu malowniczej wioski.

— Mnie się znów zdaje Lizo — zabrała głos pani Mogford — że ty spotkałaś się z upiorem. Możesz być tego zupełnie pewna, gdyż i ja widziałam coś podobnego dzień przed śmiercią ciotki Lotti.

— Dowiemy się niebawem — odpowiedział stary Mogford.

Ciekawa jestem, jak się ojciec zabierze do rzeczy? — spytała Liza.

— Będę starał się przyglądnąć jej się możliwie najdokładniej.

Po długich debatach uradzono wreszcie, że obaj synowie pójdą w nocy z ojcem na cmentarz, celem zdemaskowania owej tajemniczej damy.

Plan przyszedł szybko do skutku, przyjęto go jednogłośnie i już w poniedziałek rano mogła była Liza donieść pannie Derwent o ważnej uchwale, jaka zapadła w jej rodzinie.

Panna Derwent spotkała tego samego dnia jeszcze Fairforda na ulicy. Wdała się z nim natychmiast w rozmowę i po paru słowach poznała niebawem, że Fairford zapomniał zupełnie o nie przyjemnych wypadkach, jakie rozegrały się dnia poprzedniego. Ze zwykłą sobie swobodą pytał o Annę, wyrażając nadzieję, że przecież raz musi nastąpić polepszenie.

— Przeciwnie, panie Owenie — odparło dziewczę ze smutnym uśmiechem — z Anną z dnia na dzień gorzej! Był właśnie doktór w tej chwili i zbadawszy ją, orzekł, że Anna skona prawdopodobnie w ciągu tej nocy. Namówił mnie gwałtem prawie do zaczerpnięcia troszkę świeżego powietrza, gdyż w przeciwnym razie, nie pomyślałabym nawet o pozostawieniu umierającej Anny samej.

Skoro ujął jej drobną, wychudłą rączkę i spojrzał ze smutkiem w jej melancholijne oblicze, poczuła nagle ogromną ochotę zdradzenia Owenowi całego planu Arnolda, wyspowiadania się przed nim z całej tajemnicy. Nie uczyniła tego jednak, choć serce parło ją prawie do tego kroku, chociaż bała się o Fairforda, wiedząc, jak Arnold na współkę z Mogfordami będzie śledził dniem i nocą biednego Owena.

Lecz nie z tej strony zagrażało największe niebezpieczeństwo Fairfordowi.

Bodger posłyszał przypadkowo w gospodzie pod „Złotym Lwem“ o planie Mogforda, postanowił więc pracować dalej niezmordowanie i nie pozwolić im otrzymać wyznaczonej nagrody. Z zadowoleniem ogromnem przypatrywał się zmianie, jaka gotowała się w całej naturze.

Gęste chmury gromadziły się nad wioską, lada chwila miał lunąć deszcz.

Nawet gdyby Mogfordowie wybrali się dzisiaj na poszukiwania, trudy ich spełzną na niczem, gdyż tajemnicza dama z pewnością nie pokaże się tej nocy.

Bodger udał się do swojej sypialni koło 11 godziny. Deszcz lunął rzęsiście, gdy nagle posłyszał Bodger dobrze mu znane skrzypienie drzwi i w oddaleniu paru kroków ujrzał tuż obok bramy jakąś czarną osobę. Twarzy nie można było dostrzedz, gdyż zasłoniona była dużym parasolem. Zwolna posuwała się naprzód, idąc drogą w stronę cmentarza.

Jakkolwiek zależało ogromnie Bodgerowi na śledzeniu tajemniczej postaci, tym razem nie odważył się jednak iść śladem tajemniczego gościa. Po pierwsze burza szalała poprostu, po drugie przewidywał starcie z Mogfordami, czego starał się zawsze unikać.



Wtem przesunęła się tajemnicza postać, najzupełniej zgodna z opisem Lizy.

Trzy osoby, osłonione najrozmaitszemi ubraniami, stały w samej rzeczy przy wejściu na cmentarz. Deszcz siekł nieustannie, Mogfordowie nie ustępowali. Stary Mogford żałował tylko, że posłuchał rady niebacznych synów, wskutek czego zmuszony był teraz moknąć na deszczu.

— Wpół do pierwszej — zawołał z cicha Janek, wsłuchując się w miarowe uderzenia kościelnego zegaru.

— Chciałbym tylko wiedzieć, jak to długo potrwa — mruczał stary Mogford, próbując się lepiej osłonić jakimś starym kocem, który miał na sobie.

— Cicho! — zawołał Janek — słyszę jakieś kroki.

Przysunęli się do siebie i nadsłuchiwali w milczeniu. Wśród monotonnego pluskania deszczem zauważyli nagle jakiś niewyraźny odgłos kroków, ktoś zbliżał się do nich z każdą chwilką.

— Janek — zawołał Jakób, zbliżając się do brata — ja z ojcem pozostanę na miejscu, ty zaś pójdziesz naprzód i napadniesz na tę kobietę!

— Niema głupich — ja pozostanę z ojcem, a zrób to ty!

— Najlepiej niech ojciec zacznie — zauważył Jakób, straciwszy nagle wszelką ochotę.

— Wszyscy trzej zastąpimy jej drogę — rozstrzygnął ojciec.

Postać zbliżała się coraz bardziej. Ostrożnie przysunęli się nieco bliżej i wystawiwszy głowy poprzez mur obserwowali z zainteresowaniem zbliżającą się szybkim krokiem osobę. Zęby dzwoniły im ze strachu, a stary Mogford przejąwszy się widocznie za bardzo tą sprawą, drżał jak potępieniec w dzień sądu ostatecznego.

Wtem przesunęła się tajemnicza postać, najzupełniej zgodna z opisem Lizy. Twarz zasłoniona była dużym parasolem, lewa ręka zwisała martwo bez ruchu. Mogfordowie przysunęli się jeszcze bliżej ku sobie i pod ochroną muru czołgali się w stronę bramy cmentarnej. Stary Mogford otworzył drzwiczki.

— Nie rób ojciec głupstw — zawołał przyciszonym głosem Jakób, woląc zostać zdala od tajemniczej postaci.

Stary odzyskał jednak zwolna zimną krew, mając u boku najstarszego syna, wyskoczył szybko na drogę, starając się powstrzymać przechodzącą osobę.

Parasol wyleciał w górę i ku swemu największemu zdziwieniu ujrzeli Mogfordowie dobrze im znanego Owena. Czarny, gruby płaszcz, który miał na ramionach, zmienił go do niepoznania, a wśród szalonej ciemności, jaka panowała teraz, łatwo go można było wziąć za tajemniczą kobietę.

— Czego chcecie odemnie? — zapytał Fairford, mierząc ich gniewnem spojrzeniem — dlaczego zastępujecie mi drogę?!

Stary grabarz, wpadłszy tak fatalnie w pułapkę, przestępywał z nogi na nogę i skrobiąc się w rudą głowę, szukał nadaremnie trafnej odpowiedzi. Koc opadł z niego zupełnie — zmoczony do nitki, błagał złamanym głosem o przebaczenie. Zwrócił się w stronę swego domostwa, przeklinając świat cały i złorzecząc synom, że namówili go do tej zupełnie niepotrzebnej wyprawy, a już najbardziej wygrażał się Lizie, jako że ona była właściwą sprężyną w tej całej sprawie.

Lecz wypadki tej nocy nie dobiegły jeszcze końca.

Bo i Arnold pragnął zedrzeć zasłonę z twarzy tajemniczej damy. Wierny swemu postanowieniu stał właśnie na straży i niezmordowanie starał się odgadnąć na nowo tę okropną zagadkę. Złorzeczył samemu sobie, że odważył się złożyć wizytę Fairfordowi jedynie w tym celu, aby go wybadać. Owen zoryentował się natychmiast w sytuacyi i gdyby nie zdwojona ostrożność, byłaby tajemnicza dama już dawno wpadła w jego ręce.

Noc dzisiejsza zdawała się sprzyjać planom Arnolda. Przypuszczał, że Owen wypuści teraz z ukrycia tę damę, spodziewając się słusznie, że wobec takiej burzy, jaka szalała właśnie na polu, nikt nie zechce tracić niepotrzebnie czasu na nierozsądne śledzenie.

Koło wpół do 11 w nocy począł się Arnold niepokoić. Deszcz lał strumieniami, tajemnicza postać nie nadchodziła. Lecz oto posłyszał szelest sukien. Szybko poskoczył naprzód i skradając się koło parkanu ogrodowego, starał się zastąpić jej drogę przy wyjściu, do którego zmierzała. Mimo szalonej prawie gonitwy przybiegł Arnold zapóźno. Wzburzony do najwyższego stopnia, rzucił się za uciekającą postacią, gdy nagle drzwi rozwarły się na oścież i Arnold ujrzał przed sobą bladą twarz Fairforda. Lecz Arnold nie umiał jeszcze zapanować nad sobą. Z bezczelnością, przechodzącą wszelkie granice, zastąpił drzwi nogą, starając się dostać do wnętrza.

— Precz z mego domu! — zabrzmiał groźny głos Owena.

Kiedy Arnold nie ruszał się z miejsca, mimo wyraźnego rozkazu, wściekłość ogarnęła Fairforda. Nie bacząc na skutki, podniósł groźnie dłoń swoją i uderzył pięścią w głowę Arnolda.

Arnold upadł na ziemię jak długi. Padając, starał się wesprzeć na łokciu, wskutek czego złamał sobie rękę.

Owen wyparłszy przeciwnika, zamykał najspokojniej drzwi gdy nagle posłyszał krzyk bólu.

— Czy pan ciężko ranny? — zapytał Arnolda.

— Złamałem sobie rękę w okropny sposób — brzmiała odpowiedź

— Dlaczego chciał się pan gwałtem dostać do mego pomieszkania? — pytał Fairford, podnosząc Arnolda z ziemi i pomagając mu powstać.

— Nie chcę słyszeć teraz żadnych wymówek! Weź pan lepiej chustkę i przewiąż mi rękę. Cios był dobrze wymierzony — niema co mówić, mało brakowało, a byłbym powędrował za kochanym stryjem!

ROZDZIAŁ XVI.

Śmierć Anny.

W pałacu Derwenda nie pogaszono jeszcze świateł, gdy Owen przyniósł na rękach osłabionego Arnolda! Dzwonek zadzwonił smutno i upłynęło parę minut, zanim Liza zjawiła się u progu. Tuż obok niej stała zapłakana panna Derwent.

— Myślałam, że wziąłeś ze sobą klucz — odezwała się wreszcie do Arnolda.

W tej chwili spostrzegła Owena i fala krwi napłynęła do jej bladej twarzyczki.

— Mam go przy sobie — nie mogę go wyjąć, gdyż miałem wypadek. Złamałem rękę. Poślij natychmiast po Vireta, niech mi złoży ją jak najprędzej i wybawi mnie od piekielnego bólu.

Ramię przewiązane było chustką, zwisało bezwładnie, Arnold musiał je ciągle podpierać.

Flora zaprowadziła go do jego sypialni i przygotowywała wszystko na przyjęcie doktora.

— Powiedz, co mogę zrobić dla ciebie — zwróciła się do Arnolda, zapomniawszy na widok mąk jego o całej urazie, jaką czuła do niego.

— Na razie nie mam żadnej prośby! Poślij tylko natychmiast po Vireta. Rozluźnij mi zresztą ten bandaż przeklęty!

— Sam skoczę po doktora — powiedział Owen. Szybko pochwycił za kapelusz i nie zważając na burzę, jaka szalała wciąż jeszcze, spieszył szybkim krokiem po Vireta.

Tuż przy jego domostwie przypadł do niego Tygrys i począł głośno ujadać. Zaraz też ukazał się na progu i Viret, ubrany najzupełniej, gdyż lada chwila spodziewał się wezwania do łoża Anny.

— Pan Fairford! — zawołał zdumiony — cóż pana sprowadza do mnie?!

— Panna Derwent przysyła mnie po pana doktora — kuzynek złamał rękę!

Viret oglądnął się za potrzebnem narzędziem.

— Powiada pan, że Arnold złamał rękę? — spytał zdziwiony, zwracając się do Fairforda.

Owen zbliżył się do Vireta. Gdy rozglądnął się baczniej po jego laboratoryum, musiał się zdziwić niemało.

— Miałem tu gdzieś potrzebny bandaż — powiedział Viret, przeglądając wszystkie szuflady. Sprowadziłem go sobie przed trzema laty, gdy mój woźnica spadł z kozła i złamał rękę No! mam go wreszcie! Wezmę też chloroform ze sobą — nie zaszkodzi w takich wypadkach.

Wyszli szybko z laboratoryum i w towarzystwie Tygrysa, który ich nie chciał i na krok odstąpić, zwrócili się w stronę domu Derwenta.

Po chwili zapytał doktor o okoliczności, jakie towarzyszyły nieszczęściu.

— Do pewnego stopnia wina spada na mnie — odparł Owen z mocą — wybrałem się wieczorem na spacer...

— Kiepska pogoda — panie Fairford!

— I wracałem koło pierwszej godziny — opowiadał dalej Owen, nie zważając na uwagę doktora. Zamykałem drzwi właśnie, gdy ktoś pchnął je nagle z całej siły. Ku memu najwyższemu zdziwieniu spostrzegłem przed sobą Arnolda. Upierał się, aby go wpuścić. na co ja nie chciałem się zgodzić. Przyznaję, że nie umiałem zapanować nad sobą, i kiedy śmiałek nie usłuchał mego rozkazu, uniosłem się nagle i uderzyłem go silnie w głowę. Upadł tak nieszczęśliwie, że złamał rękę na dwoje. Spodziewam się jednak, że nie długo poleży w łóżku.

— Może już będzie miał dosyć tych badań — odezwał się Viret, raczej do siebie niż do Owena. — Czy pan często spaceruje nocami, panie Fairford?

— Nie! Czasem tylko!

Kategoryczna odpowiedź odebrała ochotę Viretowi do dalszej rozmowy. Skoro stanęli przed domem Derwenta, odezwał się Viret raz jeszcze:

— Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, dlaczego dziś właśnie, mimo takiej zawieruchy i burzy wybrałeś się jednak na spacer?

— Pan wybaczy — ale na to pytanie nie mogę odpowiedzieć — brzmiała odpowiedź Owena.

Flora stała przy bramie, zaraz też zaprowadziła Vireta do Arnolda! Owen wahał się chwilkę, przemógł się jednak i poszedł za doktorem do wnętrza mieszkania.

— Spraw się pan szybko, panie doktorze — zawołał Arnold — to boli piekielnie. Fairford panu pomoże. Przyniósł pan chloroform?

— Bądź pan spokojny o wszystko!

— Dzielny człowiek z pana — odpowiedział Arnold ze znaczną ulgą.

Doktor Viret poprosił Flory, aby wyszła z pokoju i zabrał się szybko do rzeczy. W mig złożył połamane części, a Fairford zaniósł Arnolda do łóżka.

— Niech się pani nie przejmuje zbytnio tą sprawą — odezwał się Viret do Flory, gdy spotkali się w przedpokoju. Dlaczego nie położyła się pani właściwie? Po co to czekać tak długo?

— Anna umarła przed chwilą — ostatnia walka musiała dać się jej porządnie we znaki, gdyż starała się coś opowiedzieć jeszcze, nie miała jednak na tyle sił.

Gorące łzy popłynęły po policzkach dziewczęcia. Owen spostrzegłszy jej boleść, zwrócił się do niej z współczuciem.

— Pozostawmy ją samą — przemówił Viret do Fairforda, a zwracając się do płaczącej Flory dodał z przejeciem:

— Przedpołudniem przyjdę jeszcze, aby pomówić z panią o wszystkiem.

Gdy Fairford stanął na swojem podwórzu, zapytał się po raz pierwszy sam siebie, do czego to wszystko doprowadzi.

— Arnold zaprzestanie badań na parę tygodni, na przyszłość będzie jednak ostrożniejszy. Ciekawym jednak, czy mnie zaskarży przed sądem, chociaż postąpiłem możliwie najoględniej.

Bodger patrzał na wszystko z ukrycia. Początkowo zdziwiony był niemało, gdy spostrzegł jak tajemnicza osoba wróciła do domu, gdyż spodziewał się jakiejś zaczepki ze strony Mogfordów, później posłyszał krzyk tylko i przy pomocy swego bystrego wzroku dojrzał przez mgłę jakąś walkę, która skończyła się nieoawem. Poznał równocześnie, że tajemniczym gościem był tym razem Owen — spostrzeżenie to nie sprawiło mu jednak zbytniego rozczarowania, gdyż od dłuższego czasu spodziewał się czegoś podobnego dla pomieszania szyków szpiegom, stającymi się coraz głośniejszymi we wiosce. Lecz jakiż cel mógł mieć Fairford, skoro nie zważając na wicher i szaloną ulewę, wybrał się na kilkogodzinną przechadzkę?! Tego nie mógł odgadnąć.

Flora poszła spać dopiero nad ranem, mimo to jednak przygotowała śniadanie o zwykłej godzinie, zdziwiła się jednak niemało, gdy do pokoju wszedł nagle Arnold.

Ubiegłej nocy, gdy Owen pobiegł po doktora, opowiedział jej Arnold dokładnie cały przebieg walki, lecz Flora przyznawała w duchu racyę Fairfordowi. Wszak musiał bronić się przed napastnikiem. Z drugiej strony jednak bolała równocześnie z Arnoldem, zwłaszcza gdy kuzyn, nie mogąc znieść okropnych męczarni, chwytał się czasami za rękę, przeklinając wszystkie swe plany.

— Od czasu do czasu zdaje mi się, że mdleję — skarżył się Arnold przed Florą na jej natarczywe pytania — Ale w łóżku nie mogę wytrzymać — potrzebuję wprawdzie godzinę na kompletne ubranie się, i jeśli mi się z łaski swojej nieco dokładnie przypatrzysz, zauważysz niechybnie pewne braki w mojem ubraniu.

Surdut przerzucony przez ramię zwisał niedbale ku ziemi, twarz Arnolda uśmiechnięta zazwyczaj, zmieniła wyraz do niepoznania. Bladość wystąpiła śmiertelna, pod oczyma widniały czarne kręgi.

— Wiem też i o tem, że potrzeba pomyśleć na seryo o pogrzebie Anny — rozpoczął na nowo rozmowę. Proszę cię Florciu, zechciej mi ukrajać tej babki, obiecałaś pielęgnować mnie jak maleńkie dziecko. Jeśli mam wyznać ci prawdę, powiem otwarcie, że panoszenie się Vireta dotyka mnie w niemiły sposób. Nie chcę być w oczach jego niedołężną figurą. Z mem zdaniem nie umiem się ukrywać, dlatego otwarcie zapytam: W jaki sposób zabierzemy się do pogrzebu Anny?

— Ponieważ doktor Viret sprawia pogrzeb, nie możemy bez niego nic stanowczego przedsięwziąć. Musimy z nim porozmawiać.

— Złożyć kogoś do grobu, to nie tak wielka sztuka, jak ci się zdaje kuzynko. Grób stoi otworem, potrzeba tylko zawieźć ją na cmentarz.

— Czy myślisz o grobie matki?

— Naturalnie!

— Grób matki jest za ciasny. Pomieści tylko dwie trumny, a gdyby ojciec powrócił...

— Uspokój się! Nie powróci! Miejsce w grobie, mnie w spadku przypadłe, odstępuję Annie wspaniałomyślnie. Dlaczego robić nowe wydatki, skoro miejsca aż nazbyt dużo.

Flora zwiesiła głowę w milczeniu. Było to wymownym dowodem, że straciła wszelką nadzieję, ażeby ojciec powrócił jeszcze. Zgadzała się z góry na postanowienie Arnolda — było to pierwszem, gorącem życzeniem Anny spocząć obok swej pani, w końcu domagały się tego stosunki materyalne.

Po śniadaniu zjawił się Viret i opatrzywszy skrupulatnie Arnolda, zwrócił się w stronę panny Derwent:

— Chciałbym porozmawiać z panią w sprawie pogrzebu. Im prędzej załatwimy tę sprawę, tem lepiej dla nas.

— Sprawa załatwiona! Zgodziliśmy się na pochowanie jej w grobie familijnym — odpowiedział Arnold.

— Kto postawił ten wniosek? — spytał Viret badawczo.

— Jeśli pan pozwoli, to ja, panie doktorze! Prawem grób do mnie należy, miejsca ustąpiłem jednakowoż Annie. Unikniemy w ten sposób niepotrzebnych wydatków i załatwimy sprawę po myśli wiernej Anny.

— Jestem innego zdania, panie Arnoldzie! Skoro zgadza się jednak panna Flora, sprawa załatwiona!

— Oto i Flora — może pan ją zapytać!

— Słyszałem, że zamierza pani pochować Annę w familijnym grobie? — powiedział miękkim głosem, podając jej rękę na powitanie.

— Jeśli pan niema nic przeciwko temu...

— Broń mnie Panie Boże! Skoro pani życzy sobie tego, nie powiem i słowa. Czy mogę być pewny, że kłopoty finansowe nie grają w tej sprawie decydującej roli?

Wkrótce załatwiono sprawę pomyślnie, Arnold odetchnął z widoczną ulgą.

— No! Na razie dosyć — przestańmy już mówić o Annie! No, co pan myślisz, panie doktorze, o moim wypadku? Wpadłem porządnie? Nieprawda?

— Lekceważyłeś pan sobie zbytnio nieprzyjaciela, przeceniałeś swe siły, ot, dlaczego musiałeś ponieść klęskę. Spodziewam się, że utraciłeś na zawsze ochotę śledzenia Fairforda. Przyznaję, że przedtem wierzyłem i ja do pewnego stopnia w istnienie tajemniczej osoby, ostatnie nieszczęście wyleczyło mnie z tego.

— Nie straciłem jednak nadziei, że sprawę zdołam wyjaśnić.

— Powątpiewam w to bardzo!

— Postąpiłem sobie bardzo nierozsądnie! Zamiast zabrać się przezornie do rzeczy, zmusiłem prawie Fairforda do zdwojenia czujności. Deszcz lał jak z cebra, mógł się zatem zaopatrzyć w parasol i wyjść zamiast tajemniczej kobiety — no! Niech tylko nie sądzi, że nie przejrzałem jego myśli dokładnie!

Nowe plany Arnolda niepokoiły pannę Derwent. Bała się, aby nie spełniły się przypuszczenia Arnolda co do związku, jaki zachodzi między Fairfordem a tajemniczą kobietą. Tajemnica nie prędko wyjaśni się jednak, gdyż Fairford. posłyszawszy zapewne o planach grabarza, będzie się miał lepiej na baczności.

Skoro Fairford zjawił się popołudniu u Flory, był już zupełnie spokojny Flora pragnęła zobaczyć się z nim jak najprędzej, gdyż spodziewała się posłyszeć z ust jego parę słów pociechy.

— Współczucie moje nie wyleczy kuzyna pani — odpowiedział na przywitanie — przyznaję, że jestem i ja winien w tej sprawie, choć musiałem się bronić. Wiem także, jak pani zależy na wyjaśnieniu zagadki, która...

Zamilkł i spojrzał na nią pytająco.

Flora przystąpiła do niego zdecydowana na wszystko.

— Tak! Panie Fairford — jestem ogromnie ciekawa!

— Tak przypuszczałem! Niestety przyznać muszę, że wyznanie pani wszystkiego przechodzi moje siły! Najboleśniejszem dla mnie uczuciem, iż zaczynam poznawać, że panią oszukiwałem do pewnego stopnia!

— Nie mogę wierzyć słowom pańskim, panie Fairfordzie!

— Dziękuję pani — odparł Fairford gorąco — pani wie dobrze, że nikomu tak dalece nie ufam, jak pani. Niechże mnie pani osądzi, nie po pozorach, ale według sprawiedliwości. (C. d. n.)

Małżeństwo Gasińskiego nie w operetce.

Najaktualniejszą sensacyą, wypadkiem dnia w Syrenim grodzie stała się afera Gasińskiego. Nie obchodzi ona poważnej Warszawy, ale zajmuje się nią Warszawka, jak dobrze nazwał swego czasu K. Bartoszewicz tę drugą połowę naszej stolicy, tę właśnie, która bardzo lubi skandalik każdy, a cóż dopiero pikantną aferę ze światka teatralnego. Otóż Warszawkę zaintrygowała świeżo notatka kuryerkowa następującej treści:

„Sławny zjadacz serc, znany wybornie na bruku warszawskim, pierwszej wody elegant, umiejący doskonale sharmonizować na swej wykwintnej postaci popielaty ton cylindra z matową czernią tużurka i żółtą skórką trzewików, mąż, pod którego palącym wzrokiem, rzucanym zwycięsko ze sceny, drżały dziewicze, półdziewicze i eksdziewicze serca płci pięknej — wpadł w sieci.... Lew, bohater cichych alkow, lew w czarnym tupecie na łysej od zbytków głowie, lew-uwodziciel, lew-pogromca, stanął przed ołtarzem dłoń w dłoni z nadobną pono, choć zębem czasu draśniętą syreną.... Warszawa powita ulubieńca swojego w złotych kajdanach. Oby mu były lekkiemi! Wszak poza sobą nic nie pozostawił, nic, coby mu sen miodowy z oczu spędzało. Nic nie pozostawił, umiał złamać i zmiażdżyć wszystko, wszystko, co mu na drodze stawało!“

Nie trzeba było nazwiska. Publiczność warszawska od razu po przeczytaniu tej wzmianki wiedziała, że mowa o Edmundzie Gasińskim, wybornym artyście teatru „Nowości“, gdzie wszystkich niemal co wieczór od lat szeregu, jak dawniej we Lwowie, bawił wyśmienicie w farsach i operetkach, a kobiety kokietował ze sceny, podobnie jak na swych „słynnych“ przechadzkach po ulicach. Człowiek ten dotychczas zawsze, poprzednio we Lwowie, a potem zwłaszcza w Warszawie, (pomijając, że był na scenie ulubieńcem teatromanów, żądnych lekkiej zabawy) miał istotnie bajeczne powodzenie u kobiet. I nareszcie wyłysiały „lew wpadł w sieć“ małżeńską. Ci, co go bliżej znali, pewni byli, czytając notatki w kuryerkach, że poślubił swą wierną przyjaciółkę ostatnich czasów kawalerskiego stanu, piękną „Kazię“, zwłaszcza, że jest ona matką jego dwóch synów. Tymczasem okazało się, że pan Eubich (takie jest właściwe nazwisko Edmunda Gasińskiego), ożenił się z posażną wdówką, panią Zofią Zarembiną, córką znanego i szanowanego mecenasa Pepłowskiego, właścicielką 150 000 rubli. A Kazia? Tuż przed ślubem awanturniczo porzucił ją z dziećmi swymi Gasiński i zaraz z żoną czmychnął do Petersburga, bojąc się afrontów ze strony znajomych w Warszawie. Rodzice „pani młodej“ zerwali z nią z powodu tego lekkomyślnego małżeństwa i wystąpili do sądu o odebranie jej majątku na rzecz dzieci po pierwszym mężu. Dziś Warszawka nie mówi o niczem innem, ze względu na obie strony, bo o ile „pana młodego“ znali wszyscy ze sceny i ulicy, o tyle jego obecną żonę znano z „towarzystwa“. Sympatye publiczności płci obojga stoją po stronie „tej trzeciej“, piękna „Kazia“ bowiem umiała sobie oddawna zjednać wszystkich znajomych nietylko ujmującem obejściem obok niezwykłej urody, ale i niezwykłym taktem. Warszawianki i Lwowianki z ciekawością przyjrzą się tu fotografiom obu „żon“ Gasińskiego, który dotychczas tylko na scenie w operetce bywał naprawdę małżonkiem i zazwyczaj zdradzał...



Małżeństwo Gasińskiego nie w operetce: P. Kazimiera Domosławska, wierna przyjaciółka z lat kawalerskich artysty Edmunda Gasińskiego w Warszawie i matka jego dwóch synów, którą świeżo porzucił, żeniąc się z bogatą wdówką.



Małżeństwo Gasińskiego nie w operetce: Dwoje dzieci artysty Gasińskiego i ich matka p. Kazimiera Domosławska.

Szalony królewicz.

Biedna Serbia ma nowe kłopoty i rozczarowania. Zdawało się, że odkąd po krwawej tragedyi w konaku belgradzkim zniknęła z widowni dynastya Obrenowiczów, a zasiadł na tronie Piotr Karageorgiewicz, kraj w spokoju odżyje. Aż oto nowe troski nawiedziły ponownie Serbów z kwestyą następstwa tronu. Lada dzień można oczekiwać wiadomości, że obecny następca tronu książę Jerzy, będzie wyłączony od dziedzictwa po ojcu, a miejsce jego zajmie młodszy brat, ks. Aleksander. Nie ulega już bowiem wątpliwości, iż młody królewicz oszalał, sądząc według tego, co o nim dzienniki opowiadają.

Ks. Jerzy, następca tronu serbskiego, liczący 20 rok życia, jest młodzieńcem wysokiego wzrostu, o sympatycznym wyglądzie. W rozmowie zdradza nadzwyczajną żywość, a w sprawach zawiłych okazuje silną inteligencyę. — Szkołę ludową i kilka klas gimnazyalnych ukończył w Szwajcaryi, poczem oddany został do korpusu paziów w Petersburgu. Gdy ojciec zasiadł na tronie serbskim, ks. Jerzy przybył do Belgradu i tutaj prywatnie pobierał nauki. Ulubionym jego przedmiotem była matematyka. Uczył się pilnie, a po ukończeniu nauk podróżował po Europie.

Od pewnego czasu spostrzeżono w księciu zmiany psychiczne, które przypisywano jego skłonności do nadzwyczaj silnych wybuchów gniewu. Później atoli wystąpiły na jaw inne fakty, które mimowoli nasuwały na myśl przypuszczenie zboczeń psychicznych. Ks. Jerzy licząc lat 19 życia, znieważał ustnie i czynnie swoich adjutantów i wychowawców, chociaż byli to ludzie, odznaczający się nadzwyczajnym taktem i wielką przezornością. Należał do nich major armii serbskiej Pescic, dalej major inżynieryi francuskiej Levasseur, obaj ludzie wielkich zdolności i przychylni dla dynastyi serbskiej. Obaj wkrótce podziękowali za swoje stanowiska.

Publiczność belgradzka wie, jak niebezpiecznie jest spotkać ks. Jerzego, jadącego konno. Wszystko ucieka wtedy w popłochu, a ks. Jerzy pędzi na oślep, co koń wyskoczy, przez najbardziej ożywione ulice, nie bacząc na przechodniów. Niedawno wobec otoczenia rzekł ks. Jerzy: „Niech tylko obejmę rządy, a będę postępował tak, jak mój dziadek“. Miał na myśli słynnego Jerzego Czarnego (Karageorga), bohatera w swoim rodzaju, człowieka o nie pohamowanych popędach.

Według informacyj "Berliner Tagblattu", ks. Jerzy bije swoich adjutantów, nazywając ich „serbskimi psami“. Zeszłego roku uciekł z jakąś tancerką, ale go pochwycono w Wiedniu i odwieziono do Belgradu. Pewnego razu uderzył w twarz adjutanta, który dobywszy pałasza, rzucił się na księcia. Z trudem zdołano uspokoić oburzonego oficera. Niebawem żaden z oficerów nie chciał pełnić służby na dworze księcia. Innym razem ks. Jerzy z kompanami wracał powozem z nocnej hulanki w chwili, gdy do katedry z królem na czele szedł pochód po uroczystości na cześć Karageorgiewicza. Ks. Jerzy ukłonił się królowi i ochrypłym głosem



Małżeństwo Gasińskiego nie w operetce: Popularny niegdyś na bruku lwowskim, a w ostatnich latach w Warszawie, „zjadacz serc niewieścich“, ceniony w farsach i operetkach artysta teatru „Nowości“, Edmund Eubich Gasiński, ze swą małżonką, panią Zofią z Pepłowskich Zarembiną, — w pół godziny po ślubie.

śpiewał hulaszcze pieśni. W domu swoim urządzał nocne orgie z damami z półświatka, a raz nawet w szale bachicznym zabrał do sali tronowej całe towarzystwo i obnażony zasiadł na tronie. W zwierzyńcu królewskim szczuł sfory psów na sarny i przypatrywał się, jak ogary rozrywały je żywcem.



Szalony królewicz: Następca tronu serbskiego, najstarszy syn króla Piotra, 20-letni książę Jerzy Karageorgiewicz, u którego zauważono objawy szaleństwa.

Otwarcie akademii handlowej w Krakowie.

Uroczystość otwarcia nowej Akademii handlowej w Krakowie rozpoczęło w niedzielę w kościele akademickim św. Anny nabożeństwo odprawione przez biskupa sufragana ks. Nowaka. W czasie mszy śpiewał chór szkoły handlowej pod kierownictwem p. Stan. Bursy. Następnie zebrali się uczestnicy uroczystości w nowym gmachu akademickim, gdzie w sali abituryentów urządzono okazały ołtarz. Oprócz uczniów nowej Akademii ze swem gronem nauczycielskiem, zjawili się tutaj panowie: namiestnik hr. Potocki, delegat nam. Federowicz, posłowie Staniszewski i Doboszyński, radcy dworu dyr. Horoszkiewicz, Wędkiewicz, Franke, Zoll, szef sekcyi w min. oświaty dr Dlabacz, dyr. Flatau i Biliński, sekr. Kowalikowski, inspektor German, instruktor Ostrowski, ks. prałat Bielenin itd. Miasto jako gospodarza, reprezentował prezydent dr Leo na czele prezydyum i członków Rady miejskiej. Byli też przedstawiciele Izby handlowej i kongregacyi kupieckiej, oraz dyrektorowie szkół średnich.

Po odśpiewaniu kantaty St. Bursy przez chór szkoły handlowej, zabrał głos twórca pięknego gmachu Jan Zawiejski. „Piękny — rzekł on na wstępie — starodawny i wiekami uświęcony to zwyczaj, że ilekroć razy budynek szlachetnym celom poświęcony — ukończonym zostaje, ten, którego obowiązkiem było wykonać i ukończyć budowę, klucze od niej oddaje właścicielowi. Dzisiaj mnie przypadło w udziale w rodzinnem mem mieście temu obyczajowi zadość uczynić. Klucze, które oddaję dziś właścicielce — gminie miasta Krakowa — na ręce Twoje, Panie Prezydencie, otwierały przed laty 27 bramy odnowionych Kazimierzowskich Sukiennic, ozdoby miasta i drogiej pamiątki naszej przeszłości. Przed laty 13 otwarto temi kluczami odrzwia teatru miejskiego, następnie trzy gmachy szkolne, a dzisiaj temi znów kluczami podwoje krakowskiej Akademii handlowej". W końcu zwrócił się prof. Zawiejski do biskupa Nowaka z prośbą o poświęcenie nowych murów. Dostojnik kościelny dopełnił tego aktu, przyczem wygłosił dłuższe przemówienie. Z kolei prezydent dr Leo skreślił dzieje naszej szkoły handlowej aż do jej przemiany na akademję i historyę wybudowania obecnego gmachu. Po mowie wiceprezesa Izby handlowej Goetza-Okocimskiego, zabrał głos hr. Andrzej Potocki nie jako namiestnik, lecz jako krakowianin i jako prezes kraj. Rady szkolnej, przypominając młodzieży tradycye krakowskiego mieszczaństwa. Imieniem ministra oświaty mówił dr Dlabacz, szef sekcyjny z Wiednia, a po nim przemawiali jeszcze dyrektor nowej Akademii Kannenberg i dwaj jej wychowankowie.

Nowy kierownik świeżo poświęconej uczelni krakowskiej, którego portret dziś zamieszczamy, urodził się w r. 1862, gimnazyum kończył w Bro-



Fot. apar. red. „Now. Ill." W. Lis w Krakowie.

Otwarcie Akademii handlowej w Krakowie: Twórca nowego gmachu szkolnego Akademii handlowej, znany architekt, prof. Jan Zawiejski.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Otwarcie Akademii handlowej w Krakowie: Kuratoryum krakowskiej Akademii handlowej: 1. prezydent m. Krakowa dr. Juliusz Leo, 2. szef sekcyi w ministerstwie oświaty dr. Fryderyk Dlabacz, 3. inspektor dr Franke, 4. radca dworu dr. Zoll senior, 5. dyrektor Kasy Oszczędności, poseł Staniszewski, 6. prezes Izby handlowej Mendelsburg, 7 poseł radca Federowicz, 8. radca dr. Szarski, 9. sekretarz Izby handl. radca dr. Benis, 10. radca Kwiatkowski, 11. radca Izby handl. Blumenfeld, 12. dyrektor Akademii handl. Kannenberg.

dach, uniwersytet we Lwowie P. Kannenberg poświęcił się od razu zawodowi nauczycielskiemu. Był suplentem w gimn. w Stryju, następnie pełnił obowiązki profesora w gimn. św. Jacka w Krakowie od 1889 do 1905, z przerwą dwuletnią, kiedy



Fot. apar. redak. „Now. Illustr". W. Lis w Krakowie.
Otwarcie Akademii handlowej w Krakowie: Prześliczne drzwi główne w nowym gmachu Akademii handl., wykonanym według projektu prof Zawiejskiego, w pracowni p. K. Uznańskiego.

przebywał w zakładzie chyrowskim. W 1905 r. został dyrektorem gimn w Bochni, a obecnie mianowano p. Kannenberga dyrektorem krakowskiej Akademii handlowej.

Zamieszczamy dziś najnowszą podobiznę znakomitego twórcy tego pięknego gmachu przy zbiegu ulic Straszewskiego i Kapucyńskiej, który od niedawna stał się nową ozdobą Krakowa. Fotografii budynku nie podajemy teraz, Czytelnicy bowiem pamiętają, że umieściliśmy rycinę przedstawiającą oba fronty gmachu z chwilą, gdy tylko ukończono jego budowę i wówczas pisaliśmy o pięknościach niezwykłych przybytku nowej uczelni.

Niedawno również mieliśmy okazyę pisać o twórcy gmachu, architekcie Zawiejskim, kiedy podaliśmy fotografię „pałacu pokoju" w Hadze przez krakowskiego profesora zaprojektowanego. Zna go zresztą cały Kraków i z wdzięcznością wspomina jego zasługi, spoglądając nietylko na teatr miejski, ale i na tyle gmachów nowych szkół miejskich, z koronami i orłami naszymi, gmachów tak polskich, że się aż serce raduje na ich widok obok tylu wstrętnych koszarowych budynków austryackich. Tak też odbija od szarzyzny kamienic nowy stylowy gmach Akademii Handlowej zdobny w polskie emblemata. Prof. Zawiejskiemu dzielną pomocą był tu młody i zdolny architekt budowniczy Julian Grabowski, który zastępował go, kierując całą budową.

Oprócz fotografji uczestników uroczystości poświęcenia gmachu, zamieszczamy też jeszcze grupę członków kuratoryum nowej Akademii handlowej.



Fotografowanie przez telegraf: Wynalazca fototelegrafii, prof. Korn z Monachium (odbitka fotografji odebrana 5 bm. po drutach telegraficznych z odległości 1800 klm.

Fotografowanie przez telegraf.

„Słyszę cię dobrze... gdybym tak mógł jeszcze zobaczyć cię teraz!" Ileż to razy zdanie podobne powiedział niejeden, rozmawiając z kimś drogim przez telefon na wielką odległość między miastami.. „Dajcie mi tysiąc drutów telegraficznych lub telefonicznych — powiada pewien uczony niemiecki — a rzecz wam ułatwię i będziecie mogli przy aparacie swoim widzieć najwyraźniej osobę, z którą rozmawiacie, chociażby z drugiego końca świata..." Ten, który zaryzykował tak śmiałe zdanie, profesor wszechnicy monachijskiej, 46 letni uczony Korn, rodem z Wrocławia, jest równie skromnym jak genialnym i nie odważył by się zapowiadać rzeczy tak bajecznych, gdyby ich nie opierał na poważnych podstawach własnych wynalazków, odkryć sensacyjnych, które już mu dały wyniki zaiste cudowne. Nie ma on jeszcze do rozporządzenia tysięcy drutów telefonicznych i zadowala się na razie w swej skromności przesyłaniem reprodukcyi kliszy fotograficznej na daleką przestrzeń, mogącą sięgać dziś już na tysiące kilometrów — po kilkuletniem udoskonalaniu swego, zdawałoby się, czarodziejskiego aparatu. Szczegółowe opisanie wynalazku telefotografii prof. Korna wymagałoby wyjaśnień zbyt technicznych, nie nadających się do naszego pisma, więc się w nie wdawać nie myślimy, a poprzestajemy jedynie na podaniu trzech odbitek fotograficznych, wykonanych jego metodą.



Fotografowanie przez telegraf: Odbitka fotografii ks regenta bawarskiego, odebrana 16 z. m. w ciągu 10 minut po drutach telegraficznych z odległości 1800 klm., przez wynalazcę fototelegrafii prof. Korna.

Uzyskał je sam wynalazca, każdą w przeciągu 10 minut, a odległość, jaka dzieliła kliszę fotograficzną od jego aparatu telegraficznego, reprodukującego ją wyraźnie i dokładnie — wynosiła 1800 kilometrów. Zapewnia on, że w ciągu kwadransa gotów otrzymać w Monachium odbitkę fotografii w Nowym Jorku. Czegóż trzeba więcej, jeżeli w dzienniku illustrowanym będzie mogła publiczność widzieć własnemi oczyma na prawdę to, co się przed godziną działo o kilka tysięcy mil i co dziś dopiero na podstawie telegramów, musiał z fantazyi przedstawić jej rysownik — zanim nadeszły z miejsca np katastrofy jakiejś, niekiedy po paru tygodniach, oryginalne fotografie... I cóż można już w obecnem stadyum wynalazku telefotografii zarzucić otrzymanym w ten sposób portretom? Wystarczy spojrzeć na twarz osoby skądinąd znanej, żeby ją z miejsca rozpoznać, jak np podobizny regenta bawarskiego, sędziwego księcia Luitpolda lub młodego następcy tronu niemieckiego. Trzecia nasza „telefotografia" przedstawia samego wynalazcę, genialnego prof. Korna z Monachium, któremu i my życzymy, żeby co rychlej aparaty



Fotografowanie przez telegraf: Odbitka fotografii następcy tronu niemieckiego, odebrana 17 z. m. w ciągu 10 minut po drutach telegraficznych z odległości 1800 klm. przez wynalazcę fototelegrafii prof. Korna.

jego tak się rozpowszechniły, by na nie mogły sobie pozwolić i „Now. Illustrowane“ w interesie swoich Czytelników.

Polski mąż stanu.

W środę pochowano na cmentarzu krakowskim jednego z najznakomitszych pisarzy polskich, który tem zwłaszcza różnił się od innych Polaków, znakomitymi obwołanych we własnym kraju, że świat inteligentny obcych narodów znał imię jego nierównie lepiej od jego ziomków. Bez przesady sławnym był zmarły świeżo w Krakowie Julian Klaczko za granicą, znanym i czytanym u Francuzów i Niemców, podczas, gdy w szerszych kołach w Polsce nie wiele wiedziano o nim i dziś z okazyi nekrologów niejeden u nas ze zdziwieniem dowiaduje się, żeśmy mieli tak wielkiego ziomka. Klaczko był zaiste jednym z najpotężniejszych umysłów politycznych w Polsce i zarazem niepospolitym erudytą. Ze śmiercią tego męża stanu, ustępuje z widowni jeden z najwybitniejszych poblicystów polskich minionej doby, wybitny działacz polityczny i dyplomata, a zarazem krytyk i estetyk sławy europejskiej, należący na równi do trzech literatur: polskiej, francuskiej i niemieckiej.

Przyszedł na świat prawie przed 80 laty na Litwie. Urodził się w Wilnie w 1827 z rodziców żydowskich, przyjąwszy jednak chrzest, był przez całe życie szczerze wierzącym katolikiem. Od najwcześniejszej młodości odznaczał się wielką pamięcią i zdolnością wierszowania, czem zwrócił na siebie uwagę Mickiewicza. Mając lat zaledwie 13, ogłosił drukiem pierwszy swój utwór poetyczny pt: „Moja pierwsza ofiara“, który wywołał ostrą krytykę, a następnie gorącą polemikę na szpaltach ówczesnej prasy polskiej. Zrazu tłómaczył poezye polskie na język hebrajski i umieszczał je w czasopismach żydowskich. W 1842 wydał w Lipsku zbiór swoich poezyj hebrajskich. Następnie pisał oryginalne poematy po polsku. Wyjazd za granicę 1847 ułatwił mu pogłębienie studyów i wpłynął na rozwój zdolności. Uczęszczał do uniwersytetów w Heidelbergu i Królewcu, gdzie zyskał doktorat filozofii. Biorąc żywy udział w ówczesnych ruchach politycznych, przebywał przez czas dłuższy w Poznańskiem. W 1849 wyjechał do Paryża. Zarzuciwszy poezyę, oddał się z zapałem studyom literacko-krytycznym, które wydawane w 3 językach: polskim, francuskim i niemieckim, zdobyły mu odrazu we wszystkich tych literaturach opinię świetnego stylisty, zdolnego publicysty i wytrawnego krytyka. W Paryżu zamieszczał cenne rozprawy o literaturze i sprawach polskich w „Revue des deux mondes“; utwory te historyczno-polityczne wyszły w osobnej książce. Również szereg świetnych artykułów politycznych i literacko-krytycznych ogłaszał przed 1860 rokiem w paryskich „Wiadomościach polskich“, wydawanych i redagowanych do spółki ze śp. ks. Kalinką i Wrotnowskim. Prace te wyszły potem w „Rocznikach



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Polski mąż stanu: Ś. p. Julian Klaczko, zmarły w 78 r. życia w Krakowie, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich minionej doby, głośny działacz polityczny i dyplomata, znakomity krytyk i estetyk sławy europejskiej, sławny autor „Wieczorów florenckich“, nagrodzonych przez Akademię paryską.

Z lwowskiego bruku.

(Sprawdziła się przepowiednia. — Fuk na wolności. — Żywot poczciwego człowieka we Lwowie. — Sprawa Brzozowskiego. — Coby było? — Polityka i jej broń. — Zdanie bezstronnych. — Słówko o strejku piekarskim, żądaniach robotników i o tem, czego majstrowie nie lubią).

Stało się to, co przepowiadałem. Gdy tylko zamknęli Fuka, powiedziałem odrazu, że albo go wypuszczą z kozy, albo go nie wypuszczą. I sprawdziła się moja przepowiednia. W tym tygodniu wypuścili go. Cały sąd śledczy a przedewszystkiem policya rumienią się ze wstydu. Pokazało się bowiem, że Fuk nie maczał palców w sprawie oszustwa w Banku krajowym i tak o tej całej sprawie nic nie wiedział, jak lwowska policya. Więc wyszedł cało. Cało, jak cało, bo trochę wyszedł pomięty, trochę przygnębiony, że go tak długo niewinnie trzymano, ale trudno. Kto żyje, działa i mieszka we Lwowie, ten musi stale być przygotowanym na to, że położywszy się spać u siebie w domu, może obudzić się rano w kryminale. Można być pewnym, że po kilkumiesięcznej kozie powiedzą człowiekowi „pardon“ i wypuszczą go na wolność, ale parę miesięcy mniej lub więcej nie robi przecież takiej różnicy, aby ich nie można było poświęcić... sprawiedliwości.

Okres rewizyj i aresztowań politycznych nie skończył się jeszcze i nie możemy wiedzieć, kogo jutro przyaresztują, ale przygotowani musimy być na to wszyscy. Żywot poczciwego człowieka we Lwowie nie jest pozbawiony urozmaicenia. Albo go bandyta na ulicy w biały dzień ograbi, albo go policyant zarąbie, albo w najlepszym wypadku przeprowadzą u niego rewizyę i zamkną do kryminału z motywów politycznych. Jeżeli kogoś nie spotkała żadna z powyższych przyjemności, to jeszcze czyha nań cały korpus złodziejski, na jego żołądek czyha cały szereg fałszowanych produktów spożywczych, na jego kieszeń powszechna drożyzna, podatki kilkunastu gatunków, dawni wierzyciele, nowi wierzyciele, przyszli wierzyciele i wieczny, nieodstępny, nigdy niezaspokojony wierzyciel: żona.

Są atoli ludzie u nas i gdzieindziej, którym podobne drobnostki nie dolegają i zajmują się innemi ważniejszemi sprawami, mianowicie polityką. Nie tą polityką, za którą się człowiek naraża na kryminał i rewizye, ale cichą a celową, tą, która wywołuje rozgłos, robi wrażenie fajerwerku i zostawia po sobie dużo.. dymu. Mówię o sprawie Brzozowskiego. Z góry się zastrzegam, że nie robiąc polityki, nie należę do żadnego stronnictwa, a zatem mogę w danym wypadku reprezentować tylko tych, którzy zupełnie bezstronnie zapatrują się na tę niemiłą, brzydką sprawę. Przyjechał Brzozowski do Galicyi i poprzedziła go sława bardzo zdolnego literata, specyalnie krytyka. Ale ten Brzozowski miał jakiś grzech z lat dawnych, grzech, o którym możebyśmy się nigdy nie dowiedzieli, gdyby p. Brzozowski nie brał udziału w... polityce. Ot i wszystko. Wystarczyło że p. Brzozowski jest politykiem, aby mu przypomniano jego grzech. Bo u nas politycy nie walczą argumentami. U nas stara się przedewszystkiem poniżyć i skompromitować przeciwnika. My nawet wolimy walczyć z zabłoconym przeciwnikiem. Jakoś nam lepiej i lżej. Więc naprzód podstawiamy mu chytrze nogę, aby wpadł w błoto. Uważamy, że potem będzie walka między równymi. Może i słusznie...

Mniejsza o to, kto odsłonił „tajemnicę“ Brzozowskiego. Jestem pewny, że gdyby Brzozowski po swoim przyjeździe do Galicyi był wstąpił np. do Demokracyi narodowej, byłaby go przyjęła otwartemi ramionami. Młody, zdolny, wymowny, ognisty — a więc idealny. Byłby chlubą i dumą tego stronnictwa. Ale wtedy znalazłaby się inna partya polityczna, która byłaby wytaskała na światło dzienne stare „materyały śledztwa“ i obwieściła światu, że demokracya narodowa ma w swojem łonie „defraudanta i denuncyanta“.

A więc, czy siak, czy tak, byłby musiał Brzozowski dziś stać tam, gdzie stoi, jeżeli chciał koniecznie robić politykę. I nie dziwię się wcale, że tak się stało, dziwię się tylko, że się inni dziwią. Bo to uważacie, jest polityka i taką już ona być musi, jeżeli ma być... należytą, to jest naszą, galicyjską.

A więc temu trudno się dziwić. Od tego jest wół, żeby ryczał, więc niech ryczy. Ale dziwić się trzeba koniecznie, że te liczne stowarzyszenia akademickie są tak mocno rozpolitykowane, iż czysty manewr polityczny, choćby oparty na najprawdziwszej podstawie, wyprowadza je tak łatwo z równowagi... „Die nehmen es zu ernst“, powiedziałby genialny filozof niemiecki i... zapewne miałby racyę. Stowarzyszenie akademickich obywateli przecież nie może i nie powinno być tak bardzo.. akademickiem. Jest to zdanie nie moje odrębne, ale wielu, wielu bezstronnych a bardzo poważnych ludzi, z którymi o tem rozmawiałem i ich zdanie, bądź co bądź dojrzałe, uważałem za stosowne podać do szerszej wiadomości.

Tylko ze złości i z braku miejsca nie mogę już wiele napisać o strejku piekarskim, mianowicie o majstrach, którzy przedsięwzięli sobie raczej wygłodzić całe miasto i podnieść cenę bułki do korony a nie pofolgować słusznym żądaniom robotników. Robotnicy bowiem piekarscy idą — zdaniem majstrów — w swoich żądaniach zbyt daleko, skoro oprócz podwyżki płacy domagają się czystości i poprawy hygienicznych stosunków w piekarniach lwowskich. Znaczy to mniej więcej to samo, co: prawie wszystkie piekarnie zburzyć i wybudować zupełnie nowe. Tego już naprawdę za wiele, a czego za wiele, tego — jak wiadomo — nawet majster piekarski nie lubi. *Kl.*

polskich“. Występował w tych artykułach między innemi przeciw Prusom, a przemawiał za sojuszem Francyi z Austryą. Broszury jego polityczne zwracały na Klaczkę uwagę rządów i dyplomatów. Bismark zapałał doń wielką nienawiścią. W 1869 hr. Beust powołał go do Wiednia i mianował Klaczkę radcą dworu w ministerstwie spraw zagranicznych. Lecz po kilku latach opuścił on służbę dyplomatyczną u rządu austryackiego i przeniósł się do Włoch, skąd w 1876 powrócił znów do Paryża. Swego czasu w świecie emigracyjnym polskim, grupującym się około hotelu Lambert odgrywał Klaczko wybitną rolę. Po ruchliwem życiu za granicą w stolicach świata, osiadł na pewien czas w Wiedniu, gdzie był radcą kilku wielkich instytucyj prawniczych. Posłował swego czasu z Tarnowa do Sejmu i parlamentu. Ostatek życia spędził w Krakowie, gdzie w 1898 przyjaciele urządzili mu jubileusz. Wkrótce potem zapadł w ciężką i bolesną chorobę. Od kilku lat już mieszkania nie opuszczał. Codzień przedpołudniem odwiedzał go wierny przyjaciel prof. Stanisław hr. Tarnowski, na którego rękach przytomnie zamknął powieki śp. Julian Klaczko.

Z mnóstwa jego dzieł największy rozgłos zjednały nieboszczykowi niezrównanej piękności „Wieczory florenckie“, nagrodzone przez paryską Akademię, z francuskiego przetłómaczone po polsku przez Tarnowskiego, a przekładane zresztą na wszystkie języki europejskie, podobnie jak „Rzym i Odrodzenie“ oraz „Juliusz II“. Dzieła te będą miały trwałą wartość w dziejach literatury, jak niemniej piękne jego „Notatki z podróży“. Wydał on też „Korespondencyę Mickiewicza“, którego znał blisko. Znakomite studya polityczne Klaczki elektryzowały w danej chwili Europę i wpływały na bieg polityki gabinetów. Do takich należą tłómaczone na wszystkie języki, rozgłośne pisma o „Dwóch kanclerzach“ (Gorczakow i Bismark), o „Hegemonach pruskich“, „Wschód i Zachód“, studya nad dyplomacyą współczesną, lub słynny „list otwarty do narodu czeskiego“.

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

33 (Ciąg dalszy).

— Nie, nie.... Zresztą posłuchaj.... Naprzód oczy swoje zamknij na długą chwilę i przez ten czas myśl o mnie, myśl w ten sposób, jakgdybyś był zdala odemnie i myśląc, chciałbyś sobie przed oczyma duszy odtworzyć moją postać, wyraz mojej twarzy.... Pojmujesz mnie....

— Już oczy zamknąłem i myślę ...

— Dobrze. A teraz kiedy je otworzysz, musisz odrazu spojrzeć na gwiazdę, którą ci wskazałam. Ale jeszcze nie zaraz, trzeba dłużej mieć oczy zamknięte bez przerwy.

Zamilkli oboje.

Po długiej chwili ona zcicha szepnęła:

— A kiedy teraz w gwiazdę ową spojrzysz, musisz mnie tam dostrzedz.... musisz, powtarzam ci, mnie w niej zobaczyć....

Mocno ścisnęła go za rękę, a wtedy młodzieniec podniósł powieki i wpatrywał się w gwiazdę błyszczącą jaskrawo w ciemnościach.

— Widzę — szepnął tak cichym szeptem, ledwie dosłyszalnym, jakgdyby bał się kogoś zbudzić....

— Mnie widzisz, prawda?

— Tak... zdaje mi się, że w blasku tej gwiazdy twarz twoją dostrzegam.... Nie, poznaję całą sylwetę twoją tam, na niebie, a wyraźnie głowę widzę w samej gwieździe.....

Felicya ściskała go coraz mocniej za rękę, cała drżąc ciągle. On zaś nieruchomo wpatrywał się, z gorączkowemi wypiekami na twarzy, w urojone widziadło.

— Wyraźna twarz.... twoje rysy.... zdaje mi się, że nie mylę się....

— Patrz dobrze, patrz.... nie mylisz się... bo ta gwiazda, to ja!

Załomotało coś nagle nad głowami siedzących na kamiennej ławie.

Zerwali się oboje przerażeni.

To nietoperz przeleciał.

Odrazu pierzchło widziadło z przed oczu młodzieńca, gdy tylko wzrok oderwał od gwiazdy.

Spojrzał teraz na towarzyszkę. Ta drżała na całem ciele, stojąc obok niego. Ujął ją za rękę, lecz właśnie w tej samej chwili kobieta zsunęła się jak gdyby bezwładnie na kamienną ławę...

— Co ci jest... Co ci się stało... Możeś ciotka chora.. Co? Wody ci podać... Nie... Dla Boga, odezwijże się, Felicyo!

Głowa jej niby martwa opadła na poręcz, lecz uchronił ją od uderzenia gruby pukiel włosów.

Młodzieniec ukląkł przed nią, trzymając w rękach jej chłodne ręce.

Był zakłopotany wielce.

Nie wiedział — co ma począć. Chciał biedz do pałacu po pomoc, a bał się ciotkę zostawić samą na końcu parku.

Wtem ona sama poruszyła się. Głowa jej w tył pochylona dźwignęła się nieco. Jedną rękę podniosła i oparła na włosach młodzieńca.

Zaczęła szeptać zcicha, ledwie dosłyszalnie.

— Widziałeś?

— Mówiłem ci, że cię tam dostrzegłem wyraźnie...

— Widziałeś ten płaszcz błękitny, co mi z ramion zwisał...

— Błękitny płaszcz... powiadasz... tegom nie rozeznał...

— Długi płaszcz, srebrem przetykany bogato, wlókł się po niebie za mną daleko.. daleko... jakby nad całym krajem...

— Być może, to być może...

— A z gwiazd koronę też widziałeś... przecie... W górze ponad moją głową błyszczała wieńcem gwiazdek drobnych... musiałeś dostrzedz... Tuż nad skronią moją...

Młodzian osłupiały wpatrzył się w twarz Felicyi i słuchał — nic jej już nie odpowiadając.

— Tak, widzisz, to mnie tam widziałeś w tej gwieździe na niebie... Taką jest moja przyszłość świetna... Tyś młody, więc doczekasz, zobaczysz jeszcze, dożyjesz owych dni, kiedy ludzie przedemną, nie przedemną — a przed moim obrazem tak na kolana padać będą i na klęczkach wpatrywać się w moje oblicze, jak ty, chłopcze, teraz...

Felicyan zerwał się nagle z ziemi i stanął przed nią jak wryty.

Chciała go powstrzymać, chciała, ściskając go za ręce, zmusić, by na klęczkach przed nią pozostał. Lecz on wstał tak nagle i gwałtownie, że mu już nie zdążyła przeszkodzić.

Podniosła teraz głowę i usiadła wygodniej, poczem, zaraz przeszywając go w ciemnościach spojrzeniem, mówiła powoli, dobitnie, a napoły niby w ekstazie:

— Na początek klasztor założę... Inny niźli te wszystkie zakony dzisiejsze...

— A jakimże sposobem tybyś mogła jednak sama zakładać klasztor — chciał wtrącić młody człowiek, któremu to naraz na myśl przyszło, lecz tylko wargami poruszył zlekka i zamilkł, słuchając dalej.

— Do mnie, gdy tylko mateczką będę w zgromadzeniu sióstr... przyjdą sami księża... do nóg mi padną, kolana całować będą.. sami świętą mnie okrzykną, uwierzywszy w moje cuda...

— Cuda! — krzyknął Felicyan — ty cuda chcesz działać... ty?

— Zamilcz — odparła mu spokojnie — puszczyków takich, jak ty dzisiaj, będzie wtedy nie stu, tysiące będą niedowiarków tobie właśnie podobnych... Ale ja się ich nie boję, drwię sobie z nich, bo ich zdeptać potrafię, jak robaki marne.

Tu wstała naraz, tupiąc nogą w ziemię. A wydała się w tej chwili młodzieńcowi wcielonym demonem.

Aż spokorniał wobec niej.

— Jak robaki podepcę wszystkie papierowe wyroki, prawa pogwałcę, więzy, okowy rozerwę sama bezwzględnie... Takam jest silna... tyle w sobie czuję mocy! Będzie jak ja zechcę..

Młodzieniec spuścił głowę na piersi w milczeniu. Ale mu się zdawało, że przed nim stoi nie ta wątła, nikła kształtem i wzrostem niewiasta, jeno postać jakoś dziwnie wyniosła i potężna...

— Mówię ci, że czas przyjdzie na mnie... Wrzawę wzniecę ogromną wokoło siebie... A przyjdą do mnie księża sami, nie wołani, zobaczysz... moją wolę uznać przyjdą... Lud zleci się do mnie, świętą widząc we mnie bez zwątpień... Dożyjesz ty jeszcze tego, ja ci powiadam, że pielgrzymki tysiączne będą szły do mnie tłumnie, procesyonalnie... Wojny toczyć o mnie będą, słyszysz, bić się o mnie gotowe tłumy wielkie, a ja w kościele swoim będę królowała święta, wysoka, nietykalna - jako tam w onej gwieździe w płaszczu błękitnym...

Musiała być w jej słowach dziwna siła przekonania, skoro młodzian, sam sobie nie zdając sprawy z tego, co robi, naraz zwalił się na kolana przed Felicyą i niemal bezwiednie pocałował kraj jej sukni...

Ale natychmiast zerwał się z ziemi z powrotem, rzucił się jej na szyję i namiętnie jął całować po twarzy, po szyi, po włosach...

Powoli odjęła ramiona męskie i trzymając jego ręce w swoich dłoniach, przez chwilę patrzyła mu w oczy wśród nocnej ciemności, poczem wspięła się na palcach i pocałunek przeciągły wycisnęła na ustach młodzieńca.

— Uwierzyłeś wreszcie — szepnęła głosem miększym niźli przedtem przemawiała i oparłszy się o ramię przyjaciela, zmierzała z nim z głębi parku w stronę pałacu.

— Niech cię tak kiedyś wielbią ludzie... tak, jak tego pragniesz... Mnie wybacz, że ja cię kocham inaczej... inaczej!

Tu nachylił się w drodze do jej ramienia i znowu złożył przelotny pocałunek...

Uśmiechnęła się, rzucając mu mimochodem:

— Oj, ty dzieciaku...

Szli dalej, milcząc, ale oboje byli zajęci tak dalece myślami, iż sami nie spostrzegli się, że rozmowę przerwali.

Wkrótce znaleźli się na terasie pałacowym i już za chwilę siedzieli u stołu przy wieczerzy.

Z poczty wyjątkowo nic nie przywieziono, więc po kolacyi wyszli jeszcze na teras, gdzie usiedli w białych fotelikach brzozowych.

— Chciałem zapytać cię o coś... zechcesz odpowiedzieć mi prawdę?

Skrzywiła się na te słowa wstępu, jak gdyby przeczuwając, że zada jej pytanie, na które nie miałaby ochoty dawać wyjaśnień.

— To zależy, widzisz... Są rzeczy, na które nie mogę odpowiadać... Ale skoro chcesz tego, pytaj... Zobaczę, o co idzie... Bo ty mi jakoś zamyślasz się zanadto, jak gdybyś miał ochotę coś zgłębiać, czego i tak nie potrafisz zrozumieć... No, zresztą, o co miałeś pytać...

— Nie gniewaj się, ale prześladuje mnie pewna myśl...

— Wykrztuś ją, nudziarzu!

— Chciałbym wiedzieć... stryj Edward...

— Aha, zaczynam być u siebie...

— Czy on istotnie wierzy w ciebie... Dawniej zdawało mi się, że mam nawet pewność co do tego, iż stryj dałby się porąbać za ciebie...

— I nie myliłeś się wcale...

— Być może, ale czy on właśnie tak cię uwielbia, jak to pragniesz, by cię kiedyś uwielbiali ludzie... jak mi to opowiadałaś, zwierzając się ze swych marzeń.. Czy też może stryj Edward podobnie jak ja... kocha cię inaczej... wiąże was coś...

— Dałbyś temu spokój... Przecież z Edwardem rozmawiałeś i powinieneś nabrać przekonania, że był mi bratem i jest mi bratem...

— Od ludzi jednak słyszałem co innego... chociaż mnie stryj uprzedzał, że wszystko potwarz, co o tobie ludzie wygadują...

— Komuż wierzyć wolisz?

— Chciałbym właśnie z twoich ust usłyszeć, co mam o tem sądzić... Zaczynam bowiem nabierać przekonania, iż stryj kocha cię inaczej... niźli siostrę.. i zdaje mi się właśnie, że coś podobnego zachodzi między wami, jak między mną a tobą...

— Pocóż pytasz mnie o to, skoro sam masz właśne w tej mierze przeświadczenie... Wszak nie uwierzysz mi wobec tego, skoro podejrzliwie patrzysz na te rzeczy...

— Powiedz mi sama.

— Nic ci nie powiem, gdyż mi nie uwierzysz...

— Błagam cię, Felicyo... daj mi odpowiedź szczerą, prawdziwą, na to pytanie, które mi spokoju nie daje... Wiąże was tajemnica pod tym względem, domyślam się... Ty mi nie możesz zdradzić tego...

Felicya zaczęła się śmiać z przymusem.

— Oj, ty dzieciuchu!

— Wyznaj mi prawdę... To sprawi mi ulgę, a słowo ci daję, że nigdy już później nie poruszę tej kwestyi..

— Wierz mi lub nie wierz.. Dam ci odpowiedź jedyną, jaką dać mogę na to pytanie...

Młodzian zakochany wlepił wzrok jak w tęczę w twarz jej wyraźnie złością wykrzywioną. Oczy ich spotkały się przy mdłem świetle kandelabra płonącego na terasie wśród ciemności parku.

— Z bratem Edwardem — zaczęła Felicya — wiążą mnie sprawy zbyt poważne, by mogła być mowa o ziemskiej miłości między nami... (C. d. n.)

LUDWIK STASIAK.

Mój zegarek.

(Humoreska). Ciąg dalszy.

- Daj pan ten srebrny zegarek.

Przypiął do aksamitnej kamizelki efektowny łańcuch, wyszedł ze sklepu, zdaje mu się, że cały świat patrzy teraz na jego zegarek. Co chwilę z góry niby od niechcenia na dół okiem rzucił, czy tam wisi to srebro, wie, że teraz jest godzina siódma, a jednak co kilka minut sięga do kieszeni, dobywa zegarka, naciska łebek, sprężyna pstyk! Koperta srebrna odskakuje, porcelanowy cyferblat, na cyferblacie złocista skazówka pokazuje minutę po siódmej, dwie minuty po siódmej, trzy minuty po siódmej. A gdy do domu panny Pierzchalanki przyszedł, było siedm minut po siódmej, o czem przekonał się patrząc na zegarek w siedmiu minutach po raz dwudziesty szósty.

Pochwalił się zegarkiem przed narzeczoną, mówili o ślubie, wiele mówili, potem zapadł cichy, letni wieczór, kawaler siedział z panną wśród zakwitłych lilii, potem całował obie ręce dziewczyny, potem byli coraz bliżej siebie, potem ujął ją w ramiona i usta jej całował, słowem był w takiem położeniu, w jakiem z radością chciałbym i ja być przy pannie Pierzchalance, gdyby nie okoliczność, że jestem dyetetykiem i mam strach paniczny przed niehygieniczną czynnością szukania po ulicy czerepów własnej maszynki do myślenia.

Wszyscy romansopisarze twierdzą, że powieść nie da się napisać bez romansu i bez miłości, jeśli tedy w mej nowelli miłość jest, to wywiązałem się z obowiązku mego wobec Czytelników i resztę opowiem bardzo krótko.

Panna Pierzchalanka oprócz uczciwości nie posiadała nic, Jasiek Marczała posiadał dochodu piętnaście koron tygodniowo. Gdy po ślubie żonę do domu sprowadził, pierwszą niemal czynnością i myślą było zastawić srebrny zegarek. Dyrektor oddziału zastawniczego przy Kasie oszczędności obejrzał srebrny zegarek, preczytał „Cylindres 6 Rubis“ i ofiarował mu na zastaw ośm koron.

— Zegarek kosztował czterdzieści koron! — wykrzyknął Marczała.

— No, to idź pan do dyabła, niech panu da i czterysta.

— Daj pan dziesięć koron.

— Nie mogę.

— A więc dobrze. Zgoda na ośm.

Wziął Jasiek ośm koron. Otrzymał kartkę zastawniczą, na której wypisana była stopa procentowa 12%. Strącono Marczale procent z góry. On procent płaci, a ja procent biorę Biorę w tej samej kasie. Bo z wielkiem przeproszeniem pana inspektora podatkowego, śmiem się Wam Czytelnicy przyznać, że mam tam te głupie... Częścią się odziedziczyło, częścią się zarobiło na spekulacyach, najwięcej dał procent. Od moich pieniędzy dają mi cztery tysiące rocznie. Marczała płaci, ja biorę. To dobrze. To bardzo dobrze. Takie jest prawo.

Ale wróćmy do Marczały i do zegarka

Po ślubie jego z Kasią zdarzyło to, co się zwykle dzieje po wszystkich ślubach. Przyszła na świat dziecina. „Lapsus linguae“. Krytycy moi wyzyskają niewątpliwie ten smutny punkt w tej nowelli. Oni powiedzą, że nie po wszystkich ślubach przychodzi na świat dziecina. Dziecko nie przychodzi na przykład po ślubie wstrzemięźliwości od gorących napojów. Ale ja sobie z tego nic nie robię i po trupach krytyków idę dalej. Otóż, gdy miało przyjść to, co przychodzi po wszystkich ślubach, oprócz ślubu od gorących trunków, trzeba było wezwać doktora. Doktór był dziesięć razy; nad kobiecina drogą stał Jasiek Marczała, blady, wychudły, zielony. Włosy targał z głowy, gdy w dom wniesiono małą trumienkę...

Oczywiście, że Marczała zegarka nie wykupił. Prolongował zastaw latami; płacił procenty, wreszcie płacić przestał. Zakład zastawniczy ogłosił licytacyą sreber, złota, kosztowności Gdym przeczytał afisz, ucieszyłem się niezmiernie, bo właśnie wtedy potrzebowałem zegarka. Trzeba Wam Państwo wiedzieć, że choć dochody moje... przecie się ściskam. Nie lubię szastać pieniędzmi. Lepiej cencik do cencika, w kasie się nie pożreją. Jedyną rzeczą, na której nie oszczędzam, to mój żołądek. Na zdrowiu oszczędzać nie myślę. Na brzuch nie żałuję, bo jedzenie to podstawa zdrowia. Zresztą nie pozwalam sobie na nic. Potrzeba mi zegarka, kupię sobie skromny zegarek. A dlaczego ja mam w sklepie kupować i drogo płacić? Kupię tam zegarek na licytacyi. Nie mając pieniędzy poszedłem do kasy. Wziąłem procencik za kwartał. Trzeba kupić sobie zegarek. Stanąłem do licytacyi.

— Zegarek srebrny! Cena wywołania, ośm koron. Kto da więcej?!

Już chciałem krzyknąć ośm koron i halerz. Ale wstrzymał mię znajomy kupiec, który także przyszedł licytować.

— Panie?! Pan chce ten zegarek drogo kupić.

— Właśnie, że tanio.

— To pan czekaj.

— Jakto?

— On pójdzie poniżej ceny szacunkowej.

Wiedziałem dobrze, że to rada zdrowa. Znam przecie mego interlokutora. Jest on jenerałem bandy licytacyjnej, która w żargonie nazywa się „die kradnikies“. On człowiek fachowy, ostrzegł mnie. Podaliśmy sobie ręce. Poco mamy wbijać towar w cenę? Urzędnik wywołuje i wywołuje, ja i cała banda kradnikiesów milczymy.

(Dokończenie nastąpi).

Z półek księgarskich.

Biblioteka powszechna W. Zukerkandla puściła w świat nowe trzy książki pożyteczne.

Nr. 581-586. „Czy mówisz po rosyjsku?“ Praktyczny przewodnik do nauczenia się w krótkim czasie pisać, czytać i mówić po rosyjsku — przez E. L. (Cena 1 kor. 44 hal.)

Nr. 587-592. „Jak się bawić w towarzystwie“ przez Mieczysława Rościszewskiego. Opis rozrywek salonowych, gier i zabaw towarzyskich w pokoju i na wolnem powietrzu; przegląd nowych gier pedagogicznych; zbiór figlów, sztuk magicznych, łamigłówek itp. z illustracyami. (Cena 1 Kor. 44 hal.)

Nr. 593-600. „Co i jak gotować?“ przez Jadwigę T. Sztuka przyrządzania tanio i smacznie wszelkich potraw z dodaniem dyspozycyi obiadowych w każdej porze roku. (Cena 1 kor. 92 hal.)

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

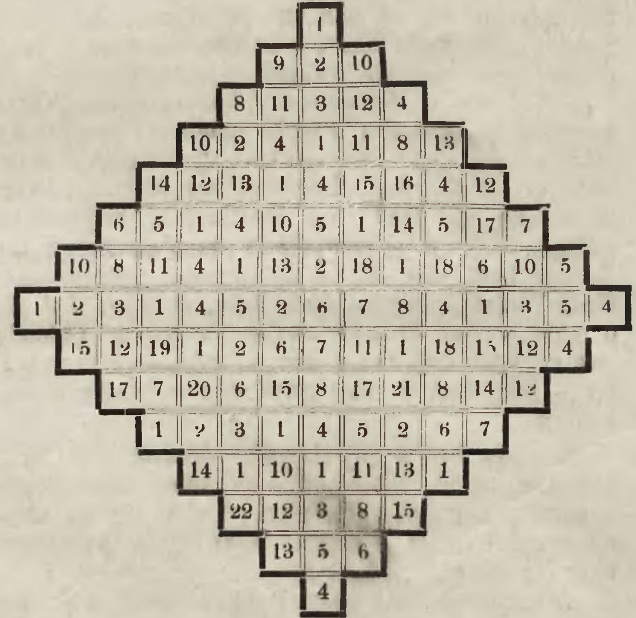
Jeżeli gospodarka twa ma być coś warta,
Gdy masz dobra, rządź bracie dobrze *pierwsza czwarta*;
Wtenczas, gdy ci starości Bóg dożyć pozwoli,
Na *trzecia-pierwsza* ciszy użyjesz do woli,
Chyba, że sprzedać pragniesz twój majątek cały,
Bądź w *piąta-pierwsza* słusznej zawsze silnie stały
I patrz, by ten, kto *druga-pierwsza* się pojawi,
Miał gotówkę. — A całość? O! państwo łaskawi!
Takiego, co nie odgadł, ja pewno nie złapię,
Bo *całość* odszukacie na Galicyi mapie.

II.

Pierwsza-druga-trzecia, lecz każda z osobna,
To litery! — nie zgadnąć zatem niepodobna...
Z *piąta-czwarta* wyziera chytry lis Mykita,
Gdy widzi, że psa niema, co za kudły chwyta...
Szósta-piąta wołają narodni Rusini,
Gdy kto w ich myśl coś mówi, lub w ich myśl coś czyni.
Całość — miasto! Odgadnąć, jest nie wielka sztuka!
Niech łaskawy Czytelnik w Rosyi go poszuka!

Arytmogryf.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

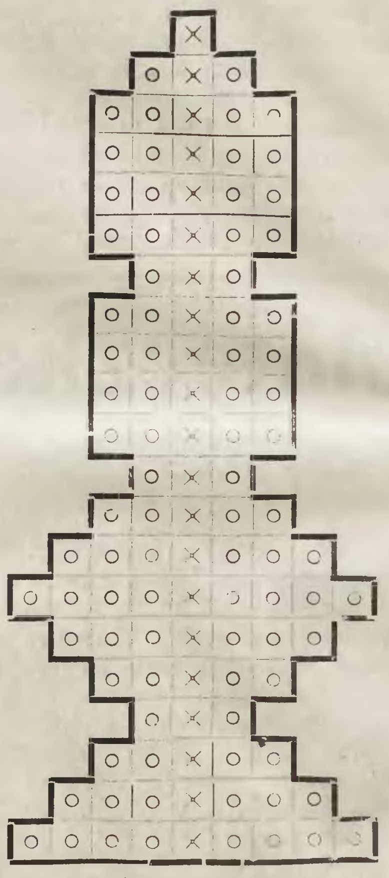


Cyfry zastąpić literami w ten sposób, by litery czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł scen lirycznych Piotra Czajkowskiego obecnie granych w teatrze lwowskim (wedle powieści Puszkina)

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Drzewo (twarde). 3. Zmysł — inaczej. 4. Tłuszcz. rośl. obecnie wiele używany. 5. Imię żeńskie. 6. Nazwa spółcz. powieściopisarza polsk. 7. Imię i nazwoski poety pols. w wieku 18. 8. ?. 9. Poseł nowogrodzki protestujący przeciw rozbiorowi Polski 10. Miejsce odpustowe w Król. Pols. słynne odsieczy Szwedów. 11. Imię męskie. 12. Nazwisko współczesnego prezydenta ministrów węgierskich. 13. Instrument muzyczny. 14. Zwierzę 15. Spółgłoska.

Kryptogryf.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.



Gwiazdki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe czytane od góry do dołu, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego współczesnego i jeden z ostatnich jego utworów dramatycznych, granych obecnie na scenie lwowskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Król zwierząt. 3. Imię męskie. 4. Miasto w Rosyi. 5. Tytuł jednego z obrazów Siemiradzkiego. 6. Gatunek psów. 7. Rzeka w Galicyi 8. Namiestnik rzymski z czasów Chrystusa. 9. rzeka w Austryi. 10. Zamek królów polskich. 11. Bez czego panna rzadko za mąż wychodzi. 12. Narzędzie wzroku. 13. Imię żeńskie. 14. Nimfa-rusałka (zobacz dramat Słowackiego. 15. Imię żeńskie. tytuł dramatu Słowackiego. 16. Miasto w Portugalii. 17. Utwór poety Kochanowskiego. 18. Owad. 19. Góry w Austryi. 20. prowincya hiszpańska. 21. założyciel nauki, która po dziś dzień utrzymuje się **w Persyi i Indyi.**

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy „**Potop**“ Sienkiewicza.

Rozwiązanie zagadek z Nru 46.

Szarady.

Cieszanów. — Ananas.

Logogryf.

Jacek Malczewski. — Jan Stanisławski.

Łamigłówka.

Jubileusz Elizy Orzeszkowej.

Arytmogryf.

Odwieczna baśń.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: W. Stanula Samocice, M. Rożański Libusza, Jan Badura Rożdzień, H. Mokrzycka Drohobycz, K. Szpunar, L Ulrych Ulanów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, S. Gleichówna Przemyśl, H. Pfeiffer Przemyśl, A. Stawski Czerniowce, J. Bazylewicz Jaktorów, S. Michałowska Starzyska, K. Pożakowski Szczakowa, H. Ulrych Malin, St. Spunda Skała, Wł. Dziewiński Kraków, M, Radlmesserówna Swoszowice, Wł. Hołdziński Lichwin, St. Łaszkiewicz Dębica, M. Małaczyński Pikułowice, A. Mussil Lwów, M. Switlikowa Rzeszów, F. Kupferberg Drohobycz, Fr. Niepokój Krosno, Towarzystwo „Zgoda“ Krosno, Siła Nowiecy Lwów, A. Rotter Stanisławów, K. Pstruszyńska Kraków, E. Kawiński Starosól, Hala Leligdowicz Fraga, A. Bocsoń Bóbrka, K. Fuchs Czeremchów, K. Iurkiewicz Tłumacz, S. Gajdeczka Sieniawa, Kopcińska Bukowsko, T. Domain Sanok, E. Bogdalska Koropuż, J. Haładej Górki, K. Jasiński Kraków. B. Ramułtowa Jeżów, dr, Warmski Turka, H. Zielińska Manajów,

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A **Stawski w Czerniowcach.** Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pp. T. Domain w Sanoku i Fr. Niepokój w Krośnie: Każde otrzymane rozwiązanie o ile dobrze rozwiązane zostało, bezwarunkowo zamieszczamy. Wykluczoną jest tu pomyłka, lub przeoczenie z naszej strony i z całą stanowczością zapewnić Panów możemy, że jeżeli nazwisk ich nie daliśmy w spisie, osób, które zagadki w Nr. 45 rozwiązały, to dlatego, że rozwiązań tych nie otrzymaliśmy.

P. J. Badura w Rożdzieniu: O ile byłaby to jakaś ważniejsza uroczystość, a zdjęcia otrzymalibyśmy najpóźniej 3 go dnia po uroczystości, chętnie zamieścilibyśmy i prosimy o nadesłanie.